Nr. 5. Lwów, 1. Marca 1887. **Rocznik VIII.**

STRAŻNICA POLSKA

DWUTYGODNIK

POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct. i jest do nabycia w Administracyi i w księgarni Polskiej.

REDAKCYA i EKSPEDYCYA:
ul. Sykstuska, L. 37. wchód od Ossolińskich
ADMINISTRACYA:
Zarząd drukarni we Lwowie,
Rynek L. 9.
Nra. pojedyncze sprzedawane będą w księgarni Polskiej plac Halicki.

PRZEDPŁATA
„Strażnica polska" kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
z przysyłką do domu . 1 „ 70 „
na prowincyi . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

OD REDAKCYI.

Dla uregulowania nakładu upraszamy o jak najspieszniejsze nadsyłanie prenumeraty, która wynosi:

we Lwowie bez przesyłki,	zł.	1.50
„ z przesyłką do domu . .	„	1·70
na prowincyi	„	1·75
za granicą	„	2·00
Pojedyńczy Nr. kosztuje	„	—·15
Podwójny „ „	„	—·30
Rocznie na prowincyi „	„	7·00
„ za granicą „	„	8·00

Prenumeratę miejscową i zamiejscową prosimy przysyłać wyłącznie na ręce p. *Szczęsnego Bednarskiego*, Zarządcy drukarni p. A. Wajdowicz we Lwowie Rynek L. 9.

Wydawca i Redaktor
J. Nep. z Oleksowa Gniewosz.

Herostratyzm w Polsce.

Żył w Efezie na 300 lat przed Chrystusem obywatel, który się nazywał Herostratos. Mógł on być użyteczny w rozmaity sposób swojemu społeczeństwu, ale zachciało mu się być sławnym. Ażeby tedy pamięć o sobie przekazać potomności, postanowił spalić świątynię. Jak postanowił, tak zrobił. Jest posiadaczem smutnej sławy.

Żyła w Polsce pod koniec 18 wieku i żyje teraz jeszcze klasa ludzi, którą się nazywa arystokracyą polską, która mogła wiele dobrego zrobić, zakładając szkoły dla ludu, wspierając lud, protegując sztuki, pilnując roli, zwiększając majątek narodowy. Słowem, mogła ta klasa być użyteczną społeczeństwu swemu w rozmaity sposób. Ale zachciało się jej uzyskać sławę na polu, na którem nie wykazała nigdy ani sprytu, ani zdolności, ani często najpospolitszej wszystkim śmiertelnikom nauki. Ale sławną być chciała w dyplomacyi i polityce. Postanowiła tedy zbiorowemi siłami przystąpić do dzieła. Jak postanowiła, tak zrobiła. Pod jej opieką powstało smutne stronnictwo Stańczyków i nie mniej smutna ekspozytura tych aktorów w Warszawie, skupionych około organu wiele obiecującego tytułem, gdyż nazwanego *„Słowem."*

Wspólnemi siłami doprowadzili ci panowie do wielu już ruin w umysłach i sercach polskich, a do jakichby doprowadzili, gdyby nie pewne obawy i żenada — o tem na teraz nie ma co mówić. Zapisujemy tylko, że gwałtem, i to w polityce chcą pozyskać sławę, a pozyskują, nie chwalebniejszą od owej Herostratowej.

Najświeższą próbkę ich usiłowań w kierunku ściągnięcia hańby na siebie a w następstwie i na cały naród polski, posiadamy we wstępnym artykule, wiele obiecującego, a nic nieurzeczywistniającego *Słowa* warszawskiego. Numer to 39. z dnia 19. lutego roku bieżącego. Zapisujemy tu oraz bez wahania domysł, że artykuł ten był przeznaczony dla głównej pieleszy herostratyzmu, dla *Czasu* krakowskiego. Ale — otóż to ale... obawiano się, że zapatrywania, zawarte w tym artykule, zakrawałyby bardzo na zdradę względem Austryi, więc postanowiono wysłać elaborat do *Słowa*. Mimo to *Czas* reprodukował także cząstkę owej mądrości politycznej. Zasadza się ona na tem, że powinniśmy zrezygnować ze wszystkiego, zaprzeć się przyszłości i rzucić się jak barany pod stopy caratu moskiewskiego. Bo jeżeli nas nie strawi ta monarchia, to — ubolewa autor, biada Słowiańszczyznie, która zresztą nigdy nie ujrzy światła dziennego, jeżeli Polacy nie dadzą się zjeść Moskalom.

Żeby jednak nie obudzić podejrzenia, że autorom sfery, pragnącej smutnej sławy, cośkolwiek podsuwamy, czego nie myśleli, zareprodukujemy tutaj naprzód kilka dosłownych ustępów. Notabene na wstępie mówi *Słowo*, że „odbiera uwagi te od jednego z najpoważniejszych obywateli kraju."

Warto posłuchać, co mówią i jak myślą „najpoważniejsi" obywatele w kraju — robi uwagę inne pismo warszawskie.

I my dodamy, że warto, ale dodamy oraz, że artykuł ten nie przywędrował do *Słowa* z kraju, ale prawdopodobnie z Wiednia, a może z Włoch, wstąpiwszy po drodze do Francyi. Dziwne bo są drogi tej wysokiej sfery, która z polityki pojęła tylko to, jak się niepostrzeżenie zdradza własny narod, a nie może pojąć, jak się broni praw narodowych.

Pomijamy wstęp, który mówi o ogólnej sytuacyi z powodu kwestyi wschodniej, a podajemy dalsze ustępy.

Mówi tedy p o w a ż n y autor:

„W całej Słowiańszczyźnie istnieje żywe i gorące poczucie potrzeby połączenia się narodów słowiańskich w pewien organiczny związek polityczny, w którymby narody te znalazły ochronę i obronę przed naporem niemieckim, jakiego były przez całe wieki przedmiotem. Jeżeli jednak ostateczny cel, do osiągnięcia którego aspirują wszyscy myślący Słowianie, wyraźnie i jasno przedstawia się w ich umyśle, to pod względem dróg, jakiemi do tego celu dążyć należy, równie jak i pod względem wzajemnego stosunku zjednoczonych narodów słowiańskich, pojęcia są albo ciemne i luźne, albo jeśli sformułowane i jasne, to tak dalece sprzeczne z sobą w zasadzie, że przedwstępną kwestyę moralnego zjednoczenia, która z natury rzeczy poprzedzać musi organiczne i prawno-polityczne zjednoczenie, uważać należy jako kwestyę jeszcze otwartą i jako *pium desiderium.*

„W takiem stadyum idei słowiańskiej, obecne wypadki zaskoczyły Rosyę, która jako *jedyne potężne i niezależne słowiańskie mocarstwo*, w logicznem następstwie wyswobodzenia *przez siebie Słowian* z pod tureckiego jarzma, *uważa się i musi się uważać za naturalną przedstawicielkę na ze-*

DAWNIEJSI AKADEMICY POLSCY.

napisał
J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy).

Łączność koleżeńska, duchowe braterstwo, wzajemny szacunek, bez względu na urodzenie, stanowisko społeczne ojca, a jeszcze mniej majątek, — nie były to frazesa, ale poczucie równouprawnienia w żywocie akademickim. Byli wprawdzie i tacy, ale to były rzadkie wyjątki, którzy chociaż nie mieli odwagi jawnego „niepospolitowania się," to jednak usuwali się w sposób nierażący. Tacy jak to już wyżej powiedzieliśmy „panicze" — omijali demokratyczny żywioł polski w Wrocławiu, a udawali się do Berlina, jako miasta większego, gdzie się można było gubić z pod oka kolegów i żyć w kółkach, jakie im najwięcej przypadały do smaku.

W rzadkich tylko wypadkach panicz taki pojawiał się na uniwersytecie wrocławskim.

Otóż i po r. 1848. przybył tam na wydział prawniczy syn bardzo zamożnego obywatela z Wielkopolski, starego rodu, liczącego od wieków całą legię poważnych antenatów, a dobrze w dziejach zapisanych. I rzeczywiście do najnowszych czasów ród ten dobrze się zasługiwał Ojczyźnie, w Wielkopolsce zaś odgrywał nawet ważną rolę jeszcze w r. 1848.

Otóż najmłodszy potomek tego rodu L., ukończywszy gimnazyum w Poznaniu, udał się najprzód na uniwersytet do Berlina, a potem przybył do Wrocławia.

Był to w gruncie młodzieniec poczciwy, przyzwoity, a nawet dosyć cichy, — ale widocznie chowany długo pod ręką kobiecą, zamiast męskości, wyrósł na ucieleśnionego i duchem paniczyka, któremu rodowód przewrócił zupełnie w głowie. Duma ta jego, lekceważąca kolegów szkolnych, nie mogących się poszczycić antenatami takimi jak on, a w dodatku biednymi, odsuwała od niego, gdyż czyniła bliższą zażyłość niemożebną.

Nie pomogły nawet takie przykłady, jak Jana Działyńskiego, który był bratem serdecznym tak samo synowi gumiennego, kucharza lub ekonoma z jego dóbr, jak innemu koledze, równającemu się rodem i mieniem.

To też gdy L. pojawił się na uniwersytecie w Wrocławiu, mniemali znający go koledzy ze szkół, że się musiał odmienić i jak to mówią „poszedł po rozum do głowy." Tak się jednak nie stało, — Duch święty nie oświecił go jeszcze, a dlaczego wybrał Wrocław, to się później pokazało. Zdawało mu się albowiem, że tu jego nazwisko i stanowisko rodowe tak zaimponuje, że mu będzie daleko łatwiej zdać egzamina i uzyskać stopień doktorski, co mu do przyszłej karyery było potrzebnem, aczkolwiek rzeczywistym prawnikiem nie myślał nigdy zostać.

Zacząwszy uczęszczać na uniwersytet, zbliżał się tylko o tyle do kolegów Polaków, o ile niezbędne decorum wymagało; w stosunki bliższe nie wchodził jednak, ani też z nimi nie żył.

Urządził się jako panicz, magnacik, a zimnem swem odpychał nawet najżyczliwszych. Doszło więc do tego, że zaledwie kilku Polaków akademików stykało się z nim chwilowo, lecz ani jeden nie żył serdecznie.

Takie lekceważenie koleżeństwa było rzeczywiście wyjątkowe, a więc nie dziw, że zrodziło wewnętrzne rozgoryczenie, które nareszcie L. miał dotkliwie odczuć.

Dodać i to winniśmy, że nie był to jak nazywano „głowacz" — i nauka wszelka przychodziła mu z trudnością, bo nawet maturę zdał głównie przez protekcyę.

Ukończywszy kursa prawne, przystąpił do siągnięcia po biret doktorski.

Jak wiadomo powszechnie, stopień ten nie jest tak trudny do osiągnięcia, a łatwiejszy daleko od złożenia matury. Można się rzeczywiście spotkać z doktoratem, zasługującym na uznanie i uszanowanie, ale bądźmy szczerzy, są to wypadki pozostające w mniejszości wobec licznych bardzo doktoratów. Nie trudno zaś i o takie, które są formalną komedyą, prostym „humbugiem," z którego się śmieje w duchu sam doktorant, jakiste i poważny senat akademicki, razem z magnificencyą, rektorem i dziekanami.

Są nawet uniwersytety w Europie, szczególniej w Niemczech, gdzie stopniami i dyplomami

wnątrz idei słowiańskiej i dlatego *jest też gotową wystąpić do czynu* jako *rerum gestor* pragnących się zjednoczyć, ale nie zjednoczonych dotąd Słowian.“

To pierwsza próbka albo głupoty, albo dobroduszności, albo — otwarcie mówiąc po prostu złej wiary „poważnego“ autora. — Kto powiedział autorowi, że Rossya uważa się i m u s i się uważać za naturalną przedstawicielkę na zewnątrz idei słowiańskiej? — Kto mu dał rękojmię, że Rossya gotowa wystąpić do czynu jako *rerum gestor* dążących (gdzie?) do zjednoczenia Słowian.

I to mówi się dziś, kiedy oficyalna Rossya wypiera się stanowczo „mrzonki słowiańskiej,“ kiedy jej organa prasy drwią z platonicznych westchnień i umizgów słowiańskich, kiedy Katkow ogłasza, że nie w imię idei słowiańskiej, ale w imię moskiewskiej racyi stanu, potrzeba zmoskwicić Polskę, kiedy nakoniec wszyscy dygnitarze Rossyi, uczeni i nieuczeni urągają w zaślepieniu wszelkim narzeczom i językom słowiańskim, i mówią, że tylko jeden moskiewski ma przyszłość i racyę bytu, bo go popiera knut i armata, i nakoniec w chwili, kiedy za język ruski na Ukrainie, wyznawcy idei narodowościowej, skazywani są na więzienia i inne kary.

Zdawało się najpoważniejszemu z poważnych autorów, że w ten sposób zamydli oczy Moskalom i nawróci ich na drogę moralności. O! politycy od siedmiu boleści! Wy tymczasem przyczyniacie się jedynie do zwątlenia poczucia narodowego, i to chyba wasz cel ostateczny i czyn, którego jedni dopuszczają się świadomie, a inni, jak barany, powtarzające bek za sygnałem barana przewodnika.

W dalszym ciągu artykułu *Słowa* dowiadujemy się, że Bismark widzi niebezpieczeństwo w zjednoczeniu się Słowian — a „Słowianofile nie są zdolni ocenić korzyści, jakieby z tego połączenia na Słowiańszczyznę spłynęły. Zdają się targować o warunki zjednoczenia“ itd. — Jak widzimy, znowu umizg do Słowianofilów rossyjskich, a dalej konkluzya, że Bismark postawił sobie za cel nie dopuścić do zjednoczenia braci Słowian i w tym celu waśni ich. W tym celu Bismark miał intrygować jeszcze przed r. 1863., w tym celu prześladuje Polaków w Prusiech, ażeby dać przykład Rossyi i zachęcić ją do takiegoż samego prześladowania, byle waśnić Słowian, wykopać jak najgłębszą przepaść pomiędzy Polakami a Rossyanami etc. Widzicie tedy, woła autor artykułu *Słowa*, że to tylko Bismark i Niemcy nie dopuszczają do zgody, którąby była hasłem do cudów w Słowiańszczyźnie. Dalej zaś rozumuje autor, jak znowu dosłownie przytaczamy:

„Druga z kolei w tym samym celu podjęta programowa akcya, dotyczy dzisiejszego ustroju państwa Austryacko-węgierskiego. Dwadzieścia lat zaledwie minęło, jak starodawny dom Habsburgów, po klęsce jaką poniosła Austrya pod Sadową, zrzec się musiał współzawodnictwa z Prusami o hegemonię w Niemczech i o niemiecką cesarską koronę. Po takiej kuracyi, Austrya samą siłą przez księcia Bismarka wytworzonego położenia, przyjąć musiała zaofiarowany jej charakter państwa dualistycznego Austro-Węgierskiego, z taką organizacją, aby narody w skład każdej z dwóch połów monarchii wchodzące, używały o tyle szerokiej autonomii narodowej, o ile ona da się pogodzić z ideą państwa zajętego na zewnątrz jako organiczna całość i aby narody te, w imię takiego uszanowania ich indywidualności i ich równouprawnienia, gromadziły się około domu Habsburgów i nauczyły się uważać tę dynastyę jako sztandar swobody i idei federacyjnej wolnych z wolnymi i równych z równymi.“

To już zakrawa na komikę, bo według autora należałoby przypuszczać, że dla narodów słowiańskich, gromadzących się około Austryi, mniejszą jest rękojmia przy „S z t a n d a r z e“ s w o b o d y i i d e i f e d r a c y j n e j“, niż pod absolutnym przymusem moskiewskim, do którego to położenia niedopuszcza waśniący Bismark.

A jak niewinną jest dla autora w tem wszystkiem polityka Rossyi — istny baranek. Nie może ona wystąpić samodzielnie i przygarnąć do swojego łona braci, bo ją psuje zły przykład Bismarka.

Nie — autor jeżeli nie jest dobrodusznym, to jest frantem i zdradza z świadomością. Rossya ma swoją politykę, bynajmniej nie opartą na żadnej sympatyi dla szczepów słowiańskich, lecz na interesie panmoskiewskim i czułe oczy nowoczesnych Herostratów nie zwrócą jej z tej drogi.

Taka jest działalność tego stronnictwa, tej sfery w kraju, która mogła wiele dobrego zrobić w swoim zakresie, lecz zachciało się jej sławy z polityki i popełnia same zbrodnie względem narodu.

Sfera to, jak ciągle od wieku, czołgająca się i maluczka wobec potężnych, a chełpliwa i zuchwała wobec warstw niższych. Sfera to nakoniec walcząca frazesem, a bez żadnych szlachetniejszych dążności i bez poczucia godności narodowej.

Nie łudźmy się!

Pod tytułem *„Z paryzkich salonów“* podała *Gazeta Narodowa* następujący artykuł, zakończając takowy własnym dopiskiem:

„Republika skazała książąt krwi na banicyę. Odczuły to salony paryskiej arystokracyi i zamknęły swe podwoje. Księżne de la Rochefoucauld - Bissaccia, de Luynes, de la Tremouille, de Sagan i inne gwiazdy świata legitymistycznego, zerwały z republikańskim Paryżem. Berło swego panowania wywiozły do Cannes i Nizzy, gdzie się roi od „wielkiego świata“.

Najokazalszymi salonami w Paryżu, są więc teraz salony cudzoziemskie, a między niemi polskie. Oryginalność i elegancya podały sobie w nich rękę i dały impuls do naśladownictwa. To też w przeważnej części salonów paryskich wnoszą dziś samowary na tacach, stawiają je na obrusach z haftami krakowskimi lub huculskimi wśród przedmiotów z kaukazkiego srebra. Także zamiłowanie do kwiatów i pereł na szyi przyjęły Francuski od Polek.

Księżny Małgorzaty Czartoryskiej z domu ks. Orleańskiej nie ma w Paryżu — bawi w Cannes — hotel Lambert nie otworzy się zatem wcześniej, niż na „święcone“, owe święcone godne pędzla Pawła Veronese, gdzie wśród sreber i kryształów weneckich, gobelinów i brokatów, występuje wiek XVI. w całej swej okazałości.

* * *

P. Etidnne, sprawozdawca *Figara* wspomina o tych świetnościach, a tymczasem zdaje sprawę z dwóch *five-o'cloks* w innych salonach polskich.

Pierwszym jest salon hr. Maryi B r a n i c k i e j z domu Sapieżanki, w pałacu na placu Lubeck. Księżna umysłem swym i typem twarzy przypomina czasy Ludwika XV. Jest to postać zupełnie odrębna, oblicze pełne życia i naturalnego wdzięku, opromienione czarującym uśmiechem, o błękitnych, pełnych wyrazu oczach; nie ma tam rysów regularnych, ale wdzięk wyrazu przewyższa martwotę klasycznej piękności. Hrabinę Maryę nazwano królową szafirów, ponieważ posiada najpiękniejszą kolekcyę tych drogich kamieni.

Hr. Branicka nie urządza hucznych zabaw, ale przyjmuje bardzo chętnie przyjaciół, lubi słuchać przyjemnych rozmów, widzieć sympatyczne postacie, i sama zapuszcza się w dyskusye z właściwym jej zapałem. Pomimo cierpienia, umysł jej nie słabnie, lecz teraz zdaje się więcej jeszcze błyszczeć swoją świetnością. Leżąc na otomanie z uśmiechniętą twarzą, przyjmuje hrabina swoich gości, otoczona kwiatami i ulubionymi drobiazgami. Salon jej robi wrażenie jakiegoś oratoryum i muzeum zarazem. Posiada ona wielki smak artystyczny i poczucie ideału. Kolekcye hrabiny Maryi są wielkiej wartości; część ich znajduje się na Ukrainie, część w Warszawie, część w Nizzy, a część w Paryżu. Wierna ośmnastemu wiekowi, namiętnie lubuje się w porcelanie saskiej, posiada nawet całkowitą szafę porcelanową, która niegdyś była własnością Augusta II. Posążki, zdobiące szafki i stoły hrabiny, z najcenniejszej porcelany, autentycznie starożytne, rzeczywiście są unikatami.

Gdyby opisać wszystko, co się znajduje w pałacu na placu Lubeck, możnaby sądzić, że to opowieść z Tysiąca i jednej nocy. Są tam szkatułki pełne pereł, turkusów i innych drogich kamieni. Patrząc na portrety o twarzach marsowych, w strojach, okrytych klejnotami, myśl przenosi się daleko na Wschód, ten Wschód, odtwarzany w epopejach i romansach, gdzie przepych jest tylko zwyczajem, a śmierć igraszką...

Oryginalnemi są przyjęcia u hrabiny. W około ogromnego stołu, uginającego się pod cudowną zastawą, gromadzi się co wieczora liczne towarzystwo przyjaciół i krewnych. Dobrzy znajomi nie czekają zaprosin, są gośmi stałymi, a nigdzie może tradycye gościnności nie zachowały się tak wybitnie, jak w domu Branickich.

Trzej bracia Braniccy zdumiewali po kolei Paryż. U hrabiego Konstantego cała służba składała się z kozaków, w strojach narodowych; hr. Władysław woził wszędzie ze sobą swoją nadworną muzykę, złożoną z Cyganów, za którą wszyscy szaleli. A o hr. Ksawerym, ileż to zabawnych ekscentryczności opowiadają! Pewnego dnia założył się, że wzniesie się balonem tak wysoko, iż gwiazdy z nieba przyniesie. Wrócił z gwiazdami w kieszeniach, które swoim bratowom porozdawał, ale były to gwiazdy... z brylantów!

* * *

---

doktorskimi prowadzi się formalny handel, i są stałe taksy na takie dyplomy doktorskie. A co jest najwygodniejszem w takich razach, oto to, że mający osiągnąć stopień doktorski, nie potrzebuje nawet sam się jawić, ale godzi się z facetem, który głównie z tego żyje, ten w jego imieniu występuje, odgrywa całą komedyę i — przynosi gotowy dyplom doktora filozofii na pergaminie.

Szczególniej przy uniwersytetach niemieckich są zwykle takie osobistości, które posiadając nie dla ozdoby tytuły doktorskie, pomimo to nie zajmują stanowisk publicznych, lecz jedynem ich zajęciem jest przygotowywanie słabych akademików do różnych egzaminów.

Otóż nasz L. wybrał sobie takiego przewodnika, a napisawszy rozprawę doktorską, którą obowiązany był własnym kosztem ogłosić drukiem, dał do poprawienia temuż. Ile tam pozostało po tej poprawie oprócz tytułu i niektórych okresów rozprawy, to tylko wiadomo L. i temu co poprawiał.

Wszystko było w porządku. Rozprawa wyszła po łacinie z pod prasy na pięknym welinowym papierze, wraz z wydrukowanymi nazwiskami „oponentów.“ Senat uniwersytecki ogłosił dzień doktoryzacyi L.

W rodzinie tegoż była to wielka uroczystość, dodająca do drzewa genealogicznego nowego listka chwały. Szczególniej w Wrocławiu uroczystość taka odbywała się z wielką wystawą. Rektor, magnificus i dziekani w togach z insygniami, inni doktorzy w płaszczach i biretach, bedele z berłami etc., a tłem tej uroczystości wspaniała, starożytna aula, z mnóstwem akademików — dodają wielkiej powagi takiej doktoryzacyi.

Aby się więc godnie odbyła, zjechali z Wielkopolski przedewszystkiem ojciec i inni znakomici członkowie rodziny, koligacye obojga płci, a nawet kilku przyjaciół. W najsłynniejszej wówczas restauracyi w hotelu pod „Złotą gęsią,“ gdzie głównie arystokracya nasza i szlachta zajeżdżała, zamówił ojciec L. wspaniały bankiet na kilkadziesiąt osób, a osobne apartamenta były przygotowane na przyjęcie gości.

W auli uniwersyteckiej było rojno. Szczególniej Polacy akademicy zgromadzili się w komplecie.

Pięknie oprawną rozprawę rozdawano gościom w setkach egzemplarzy. Nareszcie gdy rektor magnificus wezwał doktoranta, ten wszedł na katedrę z niezwykłą pewnością siebie.

Po odczytaniu rozprawy wezwał rektor oponentów do poczynienia swych uwag. Dyalog ten, wybornie wyuczony na pamięć, poszedł również gładko, przyczem goście nie szczędzili oklasków.

Pozostawała jeszcze tylko mała ostatnia formułka do spełnienia, która jednak w rzadkich wypadkach wchodziła w czyn.

Oto rektor pyta się głośno, czy kto *ex corona*, czyli z obecnych akademików w auli, nie chce jako oponent zabrać głosu?

Otóż na to wezwanie powstaje nasz już znany R., recte „prezes waryatów,“ a słuchacz praw, — i zgłasza się do dysputy. — L. otworzył szeroko oczy jak przed widmem i zbladł.

R., który słynął pomiędzy kolegami z znakomitego władania językiem łacińskim i jakby cicerońską wymową, zaczyna krytycznie przechodzić rozprawę, zbija poglądy autora z powodzeniem ustęp po ustępie, wykazuje dobitnie brak podstaw głównych, najbłędniejsze wywody, a nawet zupełnie fałszywe zrozumienie przedmiotu.

W sali powstała cisza taka, że jak to mówią: muchę można było usłyszeć w powietrzu.

Niezwykłe zdumienie ogarnęło rektora i senat, co było widocznem — i jak starzy muzycy, którzy usłyszą piękną, czystą melodyę, — nadstawiali z lubością ucha na dźwięki tej pysznej cicerońskiej wymowy oponenta *ex corona*.

Rzeczywiście, żal było patrzeć na nieszczęśliwego doktoranta, który opierając się rękami o katedrę, widocznie drżał z przerażenia, a publika już mogła przeczuć co nastąpi. To też gdy mu przyszło odpowiadać na pytania, zaczął się coraz więcej mieszać, wybełkotał zaledwie kilka frazesów, które nie licowały wcale z cicerońską wymową oponenta, a nawet gramatyką łacińską. Nareszcie zabrakło mu zupełnie przytomności, blednął coraz więcej, a następnie zemdlał i runął w katedrę.

Można pojąć przerażenie i popłoch, a co najmniej sensacyjne zdumienie, gdy każdy zrozumiał, jaką komedyą była rozprawa cała i obrona tejże przeciw *ex offo* wydrukowanym oponentom.

Można sobie wyobrazić co się działo z ojcem, rodziną i znakomitymi gośćmi.

Drugim salonem polskim, zwracającym na siebie powszechną uwagę w Paryżu, jest salon hr. Mikołajowej Potockiej.

Włoszka z urodzenia, z domu książąt Pignatelli, jest hr. Potocka Paryżanką *par excellence*. Wesołej stolicy nadsekwańskiej nie opuszcza nawet w lecie, a chcąc użyć wiejskiego powietrza, to odbywa zamiast podróży piesze wycieczki do Wersalu.

Zebrania u niej są pełne życia, góruje tam dowcip, a nikt go nie ma więcej jak sama gospodyni. Nie jest to dowcip obmyślany, wyszukany, który pozuje, ale tryskający, lekki, pełen paryskiej werwy, trochę bezładny i sam zdumiony nieco, iż przebywa w tak pięknem ciele.

Hrabina otacza się wielkościami rozmaitego rodzaju. Przyjmuje członków akademii, bankierów i autorów. Bywają u niej pp. Care, Guy de Maupassant, Jerzy Lachaud, Rubinstein. Widziano tam nieraz książąt krwi, którzy spotykali w tym samym arystokratycznym salonie aktora p. Coquelin, lub panią Pasca.

Hrabina daje co niedziele śniadania, zwane, niewiedzieć dlaczego „machabejskiemi.“ Panie bywają zwykle na piątkowych obiadach, lub wieczorem dnia tego.

Pałac hrabiny należy w Paryżu do najoryginalniejszych. Olbrzymi to gmach w stylu Ludwika XIV. z florentyńską markizą, terasami jak u Foqueta, schodami na wzór Wersalskich. Schody te piękniejsze niż w wielkiej operze; całe z różnokolorowego marmuru, układanego bardzo misternie. Olbrzymia trybuna, wznosząca się nad schodami, jest zapełniona mnóstwem wspaniałych roślin; naprzeciw trybuny rozwiesza się gobelinowa opona nieocenionej wartości. Sala balowa jeszcze nie ukończona i to tłómaczy, dlaczego dotąd w pałacu balów nie bywało. W salonach przepych niezrównany. Szczególnie jeden salon, błękitny, odznacza się wspaniałością. Tapicer skopiował tu wzory wersalskiego pałacu.

Hr. Mikołaj Potocki, z linii Tulczyńskiej, po Szczęsnym i pięknej Czelicze, zajmuje się przeważnie swojemi wspaniałemi stajniami, które są z marmuru. Hrabina ma wiele gustu, ale kolekcye mało ją zajmują; nie lubi nic takiego, czego nabycie mogłoby być trudnem. Zalicza się ona do tych szczęśliwych, którzy mogą i umieją uciec od cierpień, trosk i nudów. Umysł jej żywy i szybki, nie lubi zapuszczać się w mgliste dociekanie. Nie mówi nigdy o polityce ani filozofii, tak samo jak nie przyjmuje w swoim salonie nikogo, którýby ziewał lub był niezadowolony. Rozpieszczone to dziecko nie lubi obmyślać nic i nad niczem zastanawiać się długo; nawet stroje jej nie są nigdy obmyślane, jakkolwiek niesłychanie drogie. Słynna jej suknia z futra wydry i zarzutka sobolowa kosztuje 10.000 luidorów.

Hrabina wybiera do stroju ciemne kolory, które uwydatniają piękną twarz Diany o matowej cerze, a czarnych oczach, osłoniętych długiemi rzęsami. Bonnat zrobił jej portret w sukni z kremowego atłasu, w futrze, ale dał jej wyraz nadto poważny, zupełnie niezwykły hrabinie. Hrabia pozwala żonie siać pieniądzmi gdzie chce; mogłaby sobie i w kominku zapalić banknotami, gdyby się jej to podobało...“

* * *

„Tyle opowiada uprzejmy Francuz o dwóch salonach „polskich“ w Paryżu. Co w nich jest więcej „polskiego“ prócz pięknych dwóch nazwisk rodowych — może przyszłość okaże. Dziś, gdy na zachodnich kresach Polski, prawnuk Krzyżaków wydziera ziemię ojczystą prawnukom tych wojowników, ktorzy pola Grunwaldu i Tannenbergu zasiali trupami krzyżowych rycerzy — dziś jest sposobność okazać, czy po nad próżność imponowania płochym Paryżanom, jest jeszcze jaki poważniejszy użytek z milionów, które ziemia polska wydała... Jakżeż to szerokie pole dla istotnie wielkiej ambicyi!

* * *

Tyle z *Gazety Narodowej*.

Przeczytawszy o tych naszych „Nabobach“, coś tak w piersiach zabolało — bodaj czy nie to co nazywamy sercem, — że mimowoli aż łza gorżkiego żalu pokazała się w oku; a powodem było poruszenie w myśli wspomnień, że te nazwiska polskie nie stoją odosobnione, gdyż od czasów, jak tylko naszą pamięcią sięgnąć możemy, — ten sam tylko Paryż, pochłonął nie miliony, ale bodaj czy nie więcej jak miliard pieniędzy, które nasza magnaterya, panowie i pankowie tam na bruk po prostu wyrzucają, gdy w Ojczyźnie nędza i niedola wszelkiej nazwy. A zkądże te skarby czerpią, jeżeli nie z tego padołu łez, który się Polską nazywa?

Nie należeliśmy nigdy do tych, co we własnej Ojczyznie nawet, podburzają jeden stan, jedną kastę społeczną przeciw drugiej, bo to jest straszne — bo to jest grzeszne. Dajemy nieustanne tego dowody, że nas stare rodowe nazwiska nie kolą w oczy; — przeciwnie, radością płonie serce, jeżeli potomkowie sławnych w dziejach przodków i dziś wstępują w ich ślady, — gdy się przekonujemy, że ta sama niezepsuta krew płynie w żyłach.

Przed takimi, czy to magnatami, czy szlachtą, uchylamy ze czcią czoła i dziękujemy Bogu, że jeszcze nie zniknęli z powierzchni naszej ziemi — naszej Ojczyzny. Możemy się ze zdaniami ich nie zgadzać, nie podzielać ich przekonań, możemy się z nimi ścierać twardo, — ale już za tę samą cnotę, że siedząc tu, dzielą złą i dobrą dolę z wielką rzeszą narodu, należy im się poszanowanie i według ich czynów miłość bratnia.

Dla tych jednak, którzy czy burza czy pogoda, są jakby obcymi na ziemi która ich zrodziła, którym jest obojętnem, czy się tu krew leje, czy pioruny biją lub słońce ożywcze świeci, — i o tyle ich ta ziemia ojców obchodzi, o ile im dostarcza skarbów na ich używanie, ci nas powinni od dawna już rozczarować i przekonać, że tam oprócz nazwiska, nic w nich polskiego nie ma. Nie powinniśmy się też ani teraz, ani na przyszłość nimi łudzić.

To nie **Działyńscy**, **Zamojscy**, **Dzieduszyccy**, a nawet nie **Czartoryscy**, i to inne dzielne rycerstwo, — które przy tych starych rodach szlachetnie stoi.

Że zaś nie zwykliśmy szafować frazesami i oszczerstwami, wyciągamy z naszego własnego archiwum narodowego jeden ustęp z powierzonych nam pamiętników, dotyczących bardzo jeszcze świeżej epoki, bo r. 1863. Pamiętnik ten pochodzi od osoby, która zasługuje na najzupełniejszą wiarę, a fakt sam mieliśmy dostateczną sposobność sprawdzić zaraz po r. 1863., jakoteż i w naszych czasach.

Posłuchajmy więc, co pisze autor tego pamiętnika:

„W roku 1860 Moskale byli tak łaskawi, iż udzielili mi paszport. Wyjechałem do Belgii i po roku złożyłem egzamin do szkoły górniczej (Ecole des mines) przy uniwersytecie w Liege. W roku 1862. w Grudniu, otrzymałem polecenie od Mierosławskiego przez pośrednictwo jednego z moich przyjaciół, kupić 1000 sztuk karabinów i trochę innej broni i wysłać do Wrocławia.

W Styczniu 1863. pojechałem do Paryża, aby osobiście złożyć raport jenerałowi o kupnie i wysyłce. Jenerał mię zatrzymał i uczył mnie budowy swoich wozów i tornistrów, również swojej taktyki dla tego, że miałem dla niego kazać zrobić 12 wozów i 1000 sztuk tornistrów w Liege.

W drugiej połowie Stycznia (coś 14.), gdy przyszedłem jak zwykle o godzinie 9. rano na naukę, zastałem u niego deputacyę z Daniłowskiego, Władysława Janowskiego i Jeskego, która mu przywiozła dyktaturę.

We dwie godziny później pędziłem do Liege, a w kilka dni byłem w Bydgoszczy, aby odebrać broń. Broń przyszła, ale ją Prusacy zabrali. W kilka dni później byłem już w obozie pod Krzywosączą.

Po rozbiciu pod Krzywosączą i Nową wsią, jenerał Mierosławski wyjechał do Paryża. Nas pięciu eskortowało go do księstwa Poznańskiego. W Jeziorze jenerał Mierosławski kazał mi dać 5.000 fr. z rozkazem zakontraktowania 1000 karabinów dla piechoty, 200 sztuk dla strzelców i zrobienia 12 wozów oraz tornistrów dla kosynierów i strzelców.

Przybywszy do Liege, zaledwie roboty porozdawałem, otrzymałem od Wincentego Mazurkiewicza (żyjącego dotąd szwagra Mierosławskiego) telegram tej treści: — „pierwszym pospiesznym pociągiem przyjeżdżaj!“

W ośm godzin późuiej byłem w Paryżu, a Mazurkiewicz zawiózł mię do jenerała, mówiąc ogólnikowo o nadziejach. Jenerała zastałem w łóżku z wrzodem w gardle, który podawszy mi rękę, w te odezwał się słowa:

— „Pomódl się Bogu! Bóg z nami! Jedziemy na Żmudź — Napoleon nie jest taki g.... Daje nam trzy bataliony piechoty, batalion strzelców, bateryę artyleryi, cztery szwadrony jazdy, — broni i amunicyi tyle, ile na trzy okręty zabrać możemy. Pieniędzy daje trochę mało, ale cóż robić. Książę Napoleon zawiązał komitet z magnatów, aby dostać pieniędzy. Bez wozów, tornistrów i przyborów kosynierskich nie pojadą na Litwę, bo Moskali tylko masą uzbrojonego ludu można pobić.“

— „A ktoż dostarczy dla niego broni i amunicyi? — zapytałem.

— „Wezwałem ciebie, abyś mi zrobił kompletne uzbrojenie dla 10.000 kosynierów na 15. Marca.“

Dalszym słowom przerwał lekarz stojący koło łóżka, zakazując stanowczo po raz trzeci więcej mówić.

Naturalnie, ani włożenie biretu na głowę doktoranta, a tem mniej bankiet, nie przyszły do skutku, — a na drugi dzień L. i inni jego — wyjechali rychłym rankiem z Wrocławia.

Nie powiem, aby ta rzadka w swoim rodzaju awantura była miłą i cieszyła akademików Polaków, ale postanowili oni z namysłem, dać raz na zawsze nauczkę wszelkim paniczykom, że Polakowi nie wolno się wyłamywać ze wspólnej łączności bratniej, bez względu „kto go rodzi“, lub z powodu warunków majątkowych.

To też aczkolwiek sprawa ta była głośną, nie ośmielił się nikt głośno potępić tego co się stało. Dziś nazwanoby to niebywałym skandalem, kalaniem własnego gniazda; — ale wtenczas inaczej się jeszcze zapatrywano, co kala gniazdo własne, a co się przyczynia do wzmocnienia jego potęgi.

* * *

Aby ówczesna młodzież akademicka była „świętą,“ — tego nie powiem; — brykały czasami jednostki i szumiały chwilowo, gdy krew rodzi niezwykłą fantazyę, albo też ocknie się serce i żywiej w piersi zagra, szczególniej gdy znajdzie niby jaki szukany ideał ziemskiego szczęścia. A taka to już ta natura polska, że fantazya ta gdy raz wierzgnie, to jak rumak stepowy pędzi na przebój i nie stanie, dopóki nie dójdzie celu, lub też dopadłszy, wpadnie jakby pod rynnę zimnej wody, która gorączkę gasi i uspokaja krew.

Gdy umiemany ideał przedstawi się w rzeczywistości bez anielskich skrzydeł, lecz jak ptak domowy chodzi prozaicznie po ziemi, fantazya młodzieńcza zawiedziona, rozczarowana, stuliwszy uszy, wracą znowu na właściwe stanowisko.

Że takie wypadki rodzą potem najkomiczniejsze następstwa i sytuacye, to również jest znane.

Na uniwersytet wrocławski uczęszczał niejaki Józef S., pochodzący nie z panów jak L., lecz ze starej, poczciwej szlachty Wielkopolskiej, której głównymi znamionami były *antiquo modo* miłość Boga, miłość Ojczyzny — i twarda, wytrwała praca na ojczystym zagonie. Szczerość, gościnność, połączone jednak z ładem, były nie mniejszemi cnotami. Do szczególnej zaś charakterystyki rodowej należały długie, potężne nosy, po których poznawało się łatwo każdego członka tej rodziny, bez względu na płeć.

Nasz Józef była to na wskróś zacna, serdeczna dusza, koleżeński aż do granic ostateczności, prawego i szlachetnego charakteru. Na oko — był to młodzieniec nader poważny i starszy nad swój wiek, do czego się głównie przyczyniały — potężny nos rodowy i trochę pochyłe trzymanie, przedstawiające się tak, jakby Józio dźwigał nieustannie jakiś ciężar.

Słuchał on filozofii i historyi, marząc na przyszłość nie o roli, ale o katedrze profesorskiej. Wertował też pilnie kroniki i folianty po bibliotekach, a w orzeczeniach dziejowych faktów, był zawsze najwyższą instancyą dla kolegów.

Ojciec nie dawał mu wiele pieniędzy na żywot akademicki, ale to co dostawał, było wystarczające, aby żyć wygodnie bez troski o jutro, a nawet bawić się. Swoją drogą, Józef umiał sobie radzić, gdyż cichaczem i ukochana matka przysyłała od czasu do czasu talarków, a nawet stryjowie i stryjenki nie zapominali o nim.

Do romansowych, nasz Józef bynajmniej nie należał. Przeciwnie, kpił nielitościwie z kolegów, gdy któremu jaka podwika lub jasnoblond „Gretchen“ zamąciła w głowie.

Ale stało się — że gdy nikt z kolegów nawet nie podejrzywał w wyobraźni „Józka starego“ o sentymenta sercowe, biedak zakochał się po uszy, a nawet zaawanturował. On, któremu się nigdy gęba nie zamykała, sposępniał, zamilkł, — po raz pierwszy nie pojechał na wezwanie ojca na święta Bożego Narodzenia, wykręciwszy się sianem.

Gdy się rozpoczął karnawał, gruchła wieść niesłychana, a którą uważano za farsę — bo Józiek sprawił sobie u Orglera (nadworny akademicki krawiec) frak i najkompletniejsze balowe ubranie. Wtenczas dopiero wyszły szydła z worka — już wszyscy wiedzieli, że się zakochał, ale w kim, jak, to była niezgłębiona tajemnica. Zaczęto z niego żartować, ale Józiek tak się ostro odciął, że nikt już nie miał ochoty drażnić go, gdyż z Józkiem, pomimo całej łagodności tegoż, można było tylko do pewnych granic żartować. Dalej poszedłszy, trzebaby się było bić z poczciwym chłopcem.

Następnie coraz mniej obcował z kolegami, unikał ich prawie, a gdy nadeszły święta Wielkanocne i był znowu do domu wzywany, napisał

— „Wicuś ci da 10.000 franków i opowie tobie szczegóły — pisz co dnia raport — dodał z wielkim wysiłkiem stary jenerał.

Wincenty Mazurkiewicz, gdyśmy wsiedli do karetki, tak mi tę sprawę opowiedział:

— „Cesarz Napoleon nazajutrz po wybuchu powstania, przywołał do siebie księcia Napoleona i w te odezwał się słowa:“

— „„Polska powstała — trzeba jej dać pomoc. Rozpocząłem kampanię dyplomatyczną i ufam, że uda mi się całą prawie Europę rzucić na Moskwę, ale to może dopiero w Sierpniu nastąpić. Do tej pory trzeba utrzymać powstanie.““

„Dalej wskazując na mapie, mówił cesarz:“

— „„Różnica topnienia lodów pomiędzy Kronstadem, gdzie jest uwięziona moskiewska flota, wynosi dwa tygodnie. Dobry jenerał powinien umieć skorzystać z tej różnicy i rzucić na Żmudź kilkutysięczny korpus. Mówiłem z wiceadmirałem; przyrzekł mi z urlopników francuskich zebrać trzy bataliony piechoty, batalion strzelców, cztery szwadrony jazdy i baterye artyleryi. Mówiłem z ministrem marynarki. Daje mi uzbrojenie i wyekwipowanie dla czterech lub więcej tysięcy ochotników, przytem broni i amunicyi tyle, ile będzie można jej zabrać. Mówiłem z ministrem finansów. Daje on 600.000 franków, ja daję drugich 600.000, cesarzowa daje 300.000 fr. Ale wszystko to jest mało. W Paryżu mieszka dużo polskiej arystokracyi — i ty ją znasz. Udaj się do niej, a nie wątpię, że zasili kasę ekspedycyi. — Potrzebuję polskiego jenerała, bo tylko Polak może dowodzić ekspedycyą. Ty obracasz się między Polakami, znasz ich — dajże mi dowódcę.““

„„Znam takiego jenerała, — odpowiedział książę Napoleon — i co więcej, marzy on od dawna o ekspedycyi na Litwę. Jest nim Mierosławski.““

„„Mierosławski! — powtórzył cesarz Napoleon — Znam go, chociaż nigdy mi się nie przedstawił. Ale mniejsza o to; jedź do niego i pomów z nim. Pamiętaj tylko o sekrecie.““

„Książę Napoleon udał się natychmiast do mieszkania Mierosławskiego, a dowiedziawszy się, że wyjechał, kazał prefektowi policyi odnaleźć go. Ten wysłał ajentów do Wrocławia, Poznania, Gdańska, Krakowa, Lwowa, a nawet do Warszawy, — a nie znalazłszy go tam, kazał szukać w Paryżu i odkrył.““

Nie będę pisał, z jakiemi uczuciami przyjąłem te wiadomości i z jakim podniosłym duchem pojechałem do Liege. Ale entuzyazm mój nie trwał długo. Siódmego dnia otrzymałem znowu telegram, ale już od samego Mierosławskiego, abym natychmiast do Paryża przyjeżdżał.

Zastałem jeszcze Mierosławskiego z Plutarchem w ręku, ale już nie było przy nim ani doktora ani zakonnic.

Podawszy mi rękę, tak się odezwał:

— „Módl się za Polską — ona już znowu zdradzona. Nie pojedziemy na Litwę! — Wczoraj carski ambasador ubrawszy się w pełny mundur, stawił się w Tuillieres i zaprotestował przeciw ekspedycyi na Żmudź. Cesarz jest wściekły! Wezwawszy księcia Napoleona, wyłajał go i zapowiedział, że o niczem nie chce wiedzieć.“

Roboty kazał mi jenerał zawiesić i gotować się do wyjazdu do Krakowa. Byłeś w Krakowie i widziałeś co się tam działo. Widziałeś jak zamiast 4.000 korpusu wyszliśmy w 215 ludzi pod Igołomię i jak ta sprawa się skończyła. Widziałeś kto i co czynił, aby Mierosławski nie stanął na polu walki, aby nie wywołał ludowego powstania. Grosza nie wziął na tę wyprawę od Rządu Narodowego. Oddział ten powstały z grosza kilku patryotów, rzucony został tak samo na pastwę zdrady, jak wyprawa na Żmudź.

Aby się salwować przed hańbą, po usunięciu Mierosławskiego przygotowano najohydniejszą komedyę wyprawy i wybrano na ten cel — Łapińskiego. Ta szacherka i zdrada odbyła się kosztem krwawego, ofiarnego grosza kraju.“

Wiadome nam z tej epoki i inne zdrady — wychodzące z tej magnackiej kolonii, która trwoniła krocie — miliony w Paryżu.

Ambasada rossyjska nie potrzebowała nawet na ten cel utrzymywać tajnej policyi płatnej, gdyż te wysokie sfery śmietanki same jej dostarczały wszelkich faktów.

W ajencyi Rządu narodowego na Francyę był sekretarzem tenże milioner hr. L. K. Rząd rossyjski od początku do końca wiedział o jego stanowisku w ajencyi. Pan ten miał przy swym boku *adwokata*, którego przywiózł, sławnego inscenatora smutnej „floty polskiej“, składającej się z dwóch wraków zgniłych, używanych jako pralnie publiczne w porcie marsylijskim. Każdy krok tego sprytnego adwokata znała także ambasada rossyjska. Po ubiciu powstania, po roztrwonieniu, rozkradzeniu milionów skarbu narodowego, panowie ci i inni im podobni powrócili do kraju — włos im z głowy nie spadł. Magnat jest jak był magnatem — persona grata w caracie — a *adwokat* został bankierem i zajmuje chlubne stanowisko, — bo u nas się wszystko zapomina.

Klika ta co zrobiła wtenczas, gotowa powtórzyć każdego czasu. Aby się utrzymać na najdogodniejszem stanowisku i bezkarności, jedynie carat przedstawia dla niej Eldorado. Nie kto inny też usiłuje dziś budować *złote mosty z Polski do Moskwy. Klika ta zdradzi zresztą każdego, ktoby jej chciał zaufać.* Wtenczas, i na te cele, gotowa nawet do wielkich ofiarności. Są to nieodrodni potomkowie *Igelstromów, Repninów*, gdyż nawet krew tychże w żyłach ich płynie.

Boję się, aby potomkom Targowiczam nie krzyknął naród: — *„redde quod debes!“*

To też gdziekolwiek pierś polska wolniej oddycha i posiada prawa ludzkie, byt taki jest tym wyrodnym solą w oku. Nie gdzieindziej też należy szukać tych piekielnych haseł, rzucanych zdradziecko pomiędzy masy, że: — „nam nietylko wszystko jedno być powinno, ale przeciwnie, powinniśmy się cieszyć, czem więcej Moskwa nas zabierze, bo tak złączeni, będziemy silniejsi.“ — Otóż biada tem synowi Polski, któryby tym piekielnikom wierzył.

Przeciwnie — tam nam stać, walczyć i przelewać krew, gdzie mowa i wiara ojców jest w poszanowaniu, gdzie nam wolno nazywać się i być Polakami.

Polacy pod tymi sztandarami dzielić będą złą i dobrą dolę, — a że umią wytrwać i być wdzięcznymi, to da Bóg, że czas pokaże.

J. N. z O. G.

„Veto!“

Gdy przeszło wiek cały walczy duch Polski o byt i najświętsze prawa swoje, i dola się nie polepsza, a pomimo to nawet siła brutalna nie może go zdusić i uśmiercić, — nie dziw, że wróg śmiertelny, niczem nie przebłagany, podsuwa zrozpaczonym umysłom idee swoje, jako rzekomo jedyne zbawienie dla narodu polskiego. Ten to wróg usiłował przedewszystkiem osłabić a nawet ośmieszyć te ideały, które dotąd świeciły nieskazitelnie na sztandarach narodowych. Używając wszelkich sił, zaczął niszczyć i plugawić te ołtarze Znicza i gasić na nich pałające ognie; a stawić inne, obliczone niby na prawdach matematycznych zimnego rozumu, nazywanego „t r z e ź w y m, r e a l n y m r o z u m e m p o z y t y w i z m u“. Że ta rzekoma gwiazda zbawienia nie wyszła z naszego ducha polskiego, ani z krwi naszej i kości, ale z podszeptów ducha szatana wroga, prawdy tej nie potrzebaby daleko szukać, gdyż apostołowie pozytywizmu zaprzeczyć nie mogą, że w ich myśli i rzekomem przekonaniu, jest możność pogodzenia się z Moskwą, chociażby za wszystkie bole wiekowe nie więcej się na razie nie zyskało, jak tylko miskę soczewicy.

Apostolstwo to jest tak wstrętne, że brak wyrazu na jego określenie. Można go jedynie porównać z drugiem wydaniem poprawnej Targowicy, przystrojonej do pojęć chorobliwych drugiej połowy naszego wieku.

W pojęciach świętych ideałów naszych, tego najcenniejszego skarbu spuścizny po wielkich ojcach naszych, — z g o d a P o l s k i z c a r a t e m m o ż e j e d y n i e n a s t ą p i ć p o s k o n i e t a k i m, jakim go ś. p. Artur Grottger wieszczym duchem natchniony odmalował. Za życia narodu, zgoda ta jest niemożebną, bez dobrowolnego popełnienia samobójstwa.

Niestety samobójstwo to znajduje posłuch i poparcie nie tylko u potomków Targowicy, ale i u ludzi aczkolwiek patryotów, których umysły znajdują się w tak samo widocznym stanie chorobliwym, chociaż im się zdaje, że się kierują tylko trzeźwością rozumu.

Jest więc najświętszem zadaniem każdego prawego syna Polski, gasić w samym zarodzie to zabójcze apostolstwo, odpychać i bronić od zarazy obecne pokolenie.

Od lat kilkunastu stało się głośnem nazwisko znakomitego adwokata, p. Włodzimierza S p a s o w i c z a, zamieszkałego w Petersburgu, a założyciela tygodnika „Kraju“ tamże. Aczkolwiek pismo to redagowane wysoce umiejętnie, a rozporządzające znacznymi środkami materyalnymi, pochodzącymi z ofiarności p. Spasowicza, zyskało sobie kilka tysięcy czytelników i we wszystkich ziemiach polskich czytane z ciekawością, to tem samem uważać je można dla nas za niebezpieczne, gdyż redakcya nie może się zaprzeć, co jest jej głównym, a

tylko długi list, a sam się znowu ulotnił. Mówiono, że pojechał za swoją boginią aż do Drezna.

W kilka tygodni powrócił, ale zamknął się tak szczelnie w mieszkaniu, że dostęp do niego był niemożebny. Potrwało to znowu dwa tygodnie, gdy niespodzianie na liczniejszem zebraniu kolegów pojawia się ten sam kochany, poczciwy Józiek. Prawda, że trochę blady i wychudły, nawet nieśmiały, jakby się czegoś wstydził. Widocznie przebył jakąś ciężką walkę ducha, ale oczy miał tak samo poczciwe jak przedtem. Koledzy rzucili się hurmem do niego, wzięli w obroty, w objęcia, wyściskali, wycałowali, ale go się nikt ani słowem nie spytał, co porabiał, co się z nim działo. Nie padł najmniejszy żart lub suchy dowcip, tak umiano się nawzajem szanować.

Naturalnie pojawiły się na stole i butelki złotopłynnego węgrzyna, wychylano zdrowie zmartwychwstałego Józka, a nawet jego nosa. Zaśpiewano, zabawiono się, a dla ochłody głów poszli wszyscy hurmą na przechadzkę, na słynne *Psie pole*, po za miasto, na którem tak dzielnie Krzywousty pobił Niemców. Już słońce zeszło, gdyśmy wracali z pieśnią Wasilewskiego Edmunda:

„Wesoło żeglujmy wesoło,
„Po życia burźliwym potoku“...

U Józka zaczęliśmy znowu bywać po staremu i zrobiliśmy spostrzeżenie, że się w wygodnem pomieszkaniu niejedno zmieniło.

Józka wyposażono z domu na uniwersytet, jak to mówią dostatnio. Widocznie ojciec, a nawet matka, wysełając syna „na akademię,“ mieli przedewszystkiem na oku, aby szlacheckie dziecko miało wygodę i nie potrzebowało się wstydzić. Nikt nie miał tak pięknej pościeli jak Józiek, a bielizny i innych przyborów był tak wielki zamczysty kufer, że wystarczyłoby nawet od biedy na gospodarstwo dla małej familii. Jeden piękny dywan nad łóżkiem, a drugi zwieszający się z tegoż, rozesłany aż na połowę stancyi. Nikt nie miał tyle par obuwia na wszystkie pory roku i zmiany powietrza, jak nasz „stary Józiek.“ Samowar „tulski,“ maszynki do kawy a nawet na zrazy, które go w domu nauczono wybornie przyprawiać, wszystko to znamionowało wyjątkowo zasobnego kolegę. Wielka szafa, opatrzona siatką drucianą, zapełnioną była kronikami, foliantami, oraz dziełami historycznemi i filozoficznemi w różnych językach. Nad łóżkiem niewielki obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej na blasze miedzianej, oprawny w srebrne ramy, a bogato ozdobiony turkusami, przed którym wisiała srebrna lampka na łańcuszkach, którą wraz z obrazem zawiesiła matka własnoręcznie, odwożąc wraz z ojcem kochanego syna na uniwersytet, aby mu odjąć troskę urządzenia.

Kolei żelaznej nie było jeszcze wtenczas z Poznania do Wrocławia, a więc ojciec i matka przywieźli Józia wprawdzie antycznym, ale w cztery konie zaprzężonym powozem. Za tym toczyła się znowu wyładowana grodzka bryka, zaprzęgnięta także w cztery grubopłaskie fornale. Bryka ta objemowała wyprawę Józia na akademię.

Nieraz to wyposażenie było celem naszych żartów, z czego sobie jednak stary Józiek nic nie robił.

Jakież było zdziwienie kolegów, gdy go znowu po raz pierwszy odwiedzili.

Mieszkał wprawdzie na tem samem piętrze, ale już tylko w maluczkim, zaledwie cztery kwadratowe sążnie obejmującym pokoiku. Świetna pościel, dywany i wszelkie wykwintności znikły, nie było już mowy o szafie do sukień ani o komodzie, wielki kufer zamczysty stał uchylony i prawie próżny. Poważne łoże poprzednie zastąpiło łóżeczko najzwyklejsze sosnowe białe, obite płótnem, a na niem była tylko widoczna stara skórzana poduszka, całość zaś okryta wojłokiem, który przedtem służył do innego użytku, a nie do okrywania się nim. Szafa z książkami istniała, lecz oprócz starych ksiąg i foliantów, wszystkie nowe a kosztowne dzieła zniknęły.

Na swojem miejscu jak przedtem nad łóżkiem wisiał tylko nienaruszony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i lampka, zresztą króciutka sofka i kilka starych, wyścielonych krzeseł, składały całkowite umeblowanie mieszkania. Zdziwienie nasze trudno było ukryć, ale Józiek nie dał długo czekać na wyjaśnienie i opowiedział już z całą skruchą, że zaawanturowawszy serce, wodzono go długo za jego długi nos, wyzyskiwano go sprytnie, aż się poznał na farbowanych lisach dopiero w Dreznie, gdzie go zwabiono, a powróciwszy, musiał jako człowiek honorowy pospłacać długi zaciągnięte na swoje głupstwa, które go doprowadziły do stanu, jaki widzimy. A jak resztę długów spłaci, nie wie.

Opowiedział nam przytem, iż ojciec na niego bardzo zagniewany, że nie przyjechał na święta Wielkanocne i że tam jakiś włóczykij sąsiad, który natenczas bawił w Dreznie, opowiedział coś tam ojcu o jego amorach.

bodaj czy nie jedynym celem — apostołowanie zgody Polski z Moskwą i budowanie w tym kierunkn złotych mostów. Mianowicie w ostatnich czasach usiłowania te są nader widoczne, gdy redakcya „Kraju“ rekrutuje siły swe nawet z żywiołów, których patryotyzm jest już więcej jak podejrzany. To nie wystarcza, że w łamach „Kraju“ figuruje zastęp nazwisk poważnych i zacnych, gdyż te obejrzawszy się naokół siebie, a spostrzegłszy w jakiem są towarzystwie, komu i dla jakich celów za parawan służyły, wycofają się niezawodnie.

Dziś nastręcza się jeszcze inny fakt, a to ten, że p. Spasowicz mając stosunki od lat kilkunastu z Galicyą i z tutejszym światem literackim, bywając kilkakrotnie w Krakowie i we Lwowie, przez te lat kilkanaście nie przyszło mu nigdy na myśl, aby Galicyę zaszczycać swymi publicznymi występami, aż dopiero teraz i to w chwili, gdy apostolstwo budowy złotych mostów z Polski po Moskwy zaczyna występować coraz wyraźniej i częściej.

Otóż gdy wiadomość o zjechaniu p. Spasowicza do Galicyi stała się głośną, stronnicy idei demokratycznej polskiej zastanowiwszy się nad tą niespodzianką — mogą słusznie wnioskować, co p. Spasowicza i jego politycznych przyjaciół do tego kroku powoduje. — Zastrzegamy się, jakobyśmy p. Spasowicza posądzali o jakie rozmyślne zamiary, a wynikające z niepatryotycznego ducha. — My wierzymy nawet w patryotyzm jego, znana już nam jego ofiarność, ale też i nieszczęsna choroba umysłu, jako jednego z głównych przywódzców pozytywizmu, który — stronnictwo demokratyczne polskie, wyznające inne, stare ideały narodowe, stanowczo odtrąca.

Orzeczenie nasze to, doszło zaraz do wiadomości — „Towarzystwa Mickiewiczowskiego“, — a członkowie tegoż zostali do tego stopnia oburzeni, że jeden z wybitnych a przynajmniej bardzo czynnych członków tegoż, zgorszony protestem przeciw odczytowi p. Spasowicza we Lwowie, o Puszkinie i o stosunku tegoż do Mickiewicza, — wyrzekł:

„Widzę, że nie warto dla Polski pracować, i dlatego też gotów jestem pierwszy wystąpić z Towarzystwa Mickiewicza“.

Co do takiego orzeczenia szan. członka Tow. Mickiewiczowskiego we Lwowie spwodowało, trudno zrozumieć. Być może, że i w tem Towarzystwie odezwały się także głosy jak nasze, boć nie wszyscy jeszcze zeszli na pozytywistyczne poglądy — a już stanowczo należy powątpiewać, aby Szanowny członek Tow. Mickiewiczowskiego, usiłował zastraszyć stronnictwo demokratyczne. — Nastąpiły nareszcie prywatne — czy półurzędowe pertraktacye — a gdyśmy wypowiedzieli, że nieustępujemy ani kroku, podsunięto nam — nacośmy się zgodzili, napisanie do p. Włodzimierza Spasowicza, wyłuszczając nasze powody protestu, cośmy też bezzwłocznie uczynili.

Zdawaćby się powinno, że p. Spasowicz, który niezawodnie list odebrał, będzie umiał uszanować te powody i jako prawdziwy patryota — nie będzie chciał rzucać na bruk lwowski kości niezgody, — gdyż upór taki nie dałby się niczem usprawiedliwić.

Stało się jednak inaczej, — albowiem „Towarzystwo Mickiewiczowskie“, — nie chcąc się dać wrzekomo teroryzować, postanowiło w największej skrytości, sprowadzić p. Spasowicza na dzień 14. Marca i odczyt m przyjść „bezwarunkowo“ do skutku. — Bo cóż „Tow. Mickiewiczowskie“ może obchodzić — „ulica“ recte jakieś tam Stronnictwo demokratyczne.

Otóż ta — „ulica“ — to „jakieś“ — stronnictwo demokratyczne polskie, które nie składa się jedynie z redakcyi — „Strażnicy polskiej“, — ale z bardzo licznego grona osób, stojących może nawet wyżej od niejednego członka „Towarzystwa Mickiewiczowskiego, a które również czczą wielkiego naszego poetę, jeszcze raz oświadcza: iż najsolenniej kładzie swoje „veto“! — i sprzeciwia się odczytowi we Lwowie — w obecnej chwili p. Włodzimierza Spasowicza.

Przekonani nawet jesteśmy, że p. Spasowicz mówiłby bardzo patryotycznie, lecz i to nas do ustępstwa tak samo nie spowoduje, jak i ten argument, że obecnie pisma petersburskie wystąpiły przeciw niemu nieprzyjaźnie, o czem podaje — „Kraj“ — w ostatnim numerze.

Przeciwnie, spodziewamy się po patryotyzmie p. Spasowicza, że ten zechce uwzględnić nasze „veto“ — i nie będzie przyczyniać się do rozgoryczenia, wobec już bardzo bez tego rozluźnionych naszych stosunków społecznych.

Jeżeliby zaś p. Spasowicz i jego polityczni przyjaciele, usiłowali iść na przebój — w takim razie, musimy uważać, że p. Spasowiczowi i spółce, zależy na tem, aby za jakąbądź cenę, jego nawisko uzyskało w obecnej chwili, popularność w Galicyi: — Popularność ta, może się stać jednakowoż — bardzo względną.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Jak giną rody i fortuny.

Wobec odrodzenia „Strażnicy polskiej“ — postanowiliśmy o ile możności, nie zajmować się sprawami drobnemi, lub noszącemi charakter prywatny, gdyż te sprawy były głównym powodem do nienawiści i miotania oszczerstw na naszą Redakcyę. — Rozwielmożnienie się bezkarności narodowej i społecznej — doszło do niebywałych granic, a przynajmniej do takich rozmiarów, jakich się tylko w epoce upadku Ojczyzny dopatrzeć można.

Czy obecna epoka nie jest — nie przedstawia się tak samo, a czy nawet nie jest groźniejszą — należałoby się nad tem zastanowić sumiennie, a przekonalibyśmy się, że dziś stoimy nad przepaścią, — gdyż zatracamy nawet elementarny zmysł zachowawczy — a całą naszą przyszłość stawiamy na jedną kartę.

Pojmujemy najzupełniej co się winno czci i godności narodowej — ale toć i tego jesteśmy świadomi, gdzie nas prowadzi już tyle razy zaznaczana bezkarność i pobłażliwość grzeszna, — i ile złego i nieszczęścia na kraj sprowadza zasada: — aby nie kalać własnego gniazda, i brudów, które mają być prane w domu, nie wywlekać na widok publiczny, aby nasi wrogowie z nas nie urągali — nie szydzili.

Byłaby to bardzo piękna zasada, gdyby takie wywlekanie brudów było karane przez pręgierz opinii publicznej przynajmniej tych, *którzy się tych brudów dopuszczają*, i hańbią imię polskie pomiędzy obcymi, dopuszczając się tamże haniebnych czynów.

Nad takiemi rzeczami jednak zwykło się przechodzić do porządku dziennego, byle tylko tu na miejscu nikt głośno nie zaprotestował. — Oto przyczyny, wobec których — *„ukracanie Ojczyzny“* praktykuje się nieustannie.

Wobec takich faktów, zmuszeni i my jesteśmy w pewnych razach odstępować od reguły i — „wywlekać“ takie brudy, które przemilczać bezkarnie i nie ratować, co się jeszcze da, byłoby śmiertelnym grzechem.

Dziś przedstawiamy sprawę wyjątkową — charakteryzującą dobitnie — do jakiego zniczemnienia dochodzą ci, ktorych obowiązkiem jest w pierwszym rzędzie, — „stać na straży cnót ojców“. — Rzecz się ma tak:

Niedawno temu, żył w Galicyi obywatel, wywodzący się z starego rodu. Drzewo genealogiczne wskazywało cały szereg hetmanów, senatorów i innych dygnitarzy.

Fortuna wprawdzie już się uszczupliła, ale jak na nasze czasy — pozostała jeszcze wcale piękna sumka. — Potomek ten — nie zapomniał jednak, że mienia, jakie posiada, nie wolno mu zmarnować, ale przekazać znowu dalszemu pokoleniu. — A był krewniak — młodzieniaszek kilkunastoletni, którego przodkowie również służyli Ojczyźnie, a imię ich na niejednej karcie dziejów świetnie zapisane.—

Starzec, widząc młodzieniaszka ładnego, który mógł wyrość na zacnego męża — dając mu do rodowego i własne nazwisko, zapisał — **800.000** złr. w. a., złożonych w depozycie sądowym w gotówce.

Że zaś sukcesor tej pięknej fortuny miał rodziców, naturalnie, że ojciec został opiekunem tej fortuny — aż do pełnoletności syna.

Sumka 800.000 złr. przynosiła rocznie — 40.000 złr. procentów; — mogło więc to wystarczyć nietylko na odpowiednie wychowanie młodzieniaszka, ale i ojciec *opiekun* — mógł być przyzwoicie wynagrodzony za swe trudy.

Zapatrywanie tego ojca opiekuna było jednak inne. — Procenta 40.000 złr. rocznie, mianowicie w epoce *„pracy organicznej“* — obywatelskiej — nie wydawały mu się odpowiednie — postanowił więc na własny sposób kapitały te fruktyfikować, aż do pełnoletności syna.

Przybrawszy sobie *adwokata*, zupełnie celom swym odpowiedniego — tak umieli we dwójkę rzecz pięknie przedstawić, że sąd opiekuńczy nie wahał się tych 800.000 złr. wydać opiekunowi — ojcu do dyspozycyi.

Opiekun i doradca adwokat, postanowili te kapitały umieścić w ziemi. — Projekt — bardzo piękny, bo czyż jest co właściwsze potomkowi hetmanów, jak bronić od uszczuplenia ziemi ojców?

— „Drzę — mówił Józiek — żeby się tylko ojcu nie zechciało odwiedzić mię tu jeszcze przed wakacyami. I nic łatwiejszego, jak sprzedawszy niedługo wełnę na jarmarku w Poznaniu, gotów na prawdę przyjechać. Łatwiejby mi było już paktować podczas wakacyj i wykręcić się sianem, ale tu — dalibóg, miałbym się nie bardzo z pyszna, bo kłamać i wykręcać się nie umiałbym przed ojcem.“

Na wikt miał Józiek wprawdzie kredyt, ale zresztą ani grosza, kieszenie zaś kolegów przed wakacyami były również puste.

We dwa tygodnie później odwiedziliśmy znowu Józka, nie widząc go od kilku dni. Biedak był zrozpaczony. Aby go więc rozerwać, wywabiliśmy go za miasto na przechadzkę, a było to już przy końcu czerwca, więc po jarmarku wełnianym w Poznaniu.

Powracając, było nas pięciu a Józiek szósty, wstąpiliśmy na górę i złożywszy się na jakieś „silbery“, ugotowaliśmy herbaty, przyniesiono bułek i wędlin, które były nadzwyczaj tanie. Posiliwszy się kolacyą, mieliśmy już wychodzić do domów, gdy nagle zaszumiało strasznie w powietrzu, rozpoczęła się błyskawica, uderzył jeden i drugi grom gdzieś niezbyt daleko, a potem zaczęła się straszna ulewa.

O pójściu do domów nie mogło być mowy; paląc więc jedną i tę samą fajkę kolejno, bawiliśmy się gawędką. Tymczasem deszcz nie przestawał, ale lał w całem tego słowa znaczeniu. Nie pozostało w końcu nic innego, jak się rozłożyć obozem u Józka, a to w ten sposób:

Z wązkiego łóżeczka wzięliśmy siennik, wypchany słomą i ten położyliśmy na ziemi przy ścianie, pokrywszy go wojłokiem, który Józkowi służył za kołdrę. Na tem posłaniu, podłożywszy pod siennik od ściany książek, położyło się nas trzech. Czwarty kolega, najmniejszy wzrostem, szczuplutki, położył się na króciutkiej kanapce i nakrył się — fraczkiem. Piąty, dłuższy kolega, ten się ulokował na trzech wyścielanych krzesłach. Gospodarza zaś samego zostawiliśmy w używaniu łóżka i małego jaśka. Na łóżko nie było zresztą nic, oprócz płótna rozpiętego. Nakrywszy się każdy tem co miał, przestaliśmy gawędzić i pozasypiali. O zamknięciu drzwi na klucz nie było mowy.

Ulewa trwała całą noc, a rano była nawet silniejsza. Obudziwszy się na tem nie bardzo wygodnem legowisku, usłyszałem, że na zegarze wieżowym wybiła szósta godzina, a gdy już miałem zamiar pobudzenia kolegów, otwierają się drzwi do naszej sypialni i przez górną część otworu wsuwa się powoli wielka, siwizną pokryta głowa, ubrana w antycznej formy kapelusz. Silna brew i wąsy sumiaste, siwe, nie tyle jeszcze jednak imponowały na ogorzałej fizyognomii, jak potężny, ciemno-czerwonej barwy nos, nie fioletowy, ale zawsze mie dziany od słonecznej spalenizny.

Nie potrzoba było być ani frenologiem, ani fizyognomistą, by poznać, że głowa z tradycyonalnym familijnym nosem nie należy do kogo innego, jak do rodzica Józka. Była to w rzeczy samej nader niepożądana niespodzianka.

Stary szlachcic wsadziwszy głowę, otworzył szeroko oczy, zmarszczył brwi i ruszył dziwnie sumiastym wąsem, a odchrząknąwszy silnie, zapytał tubalnym głosem:

— „Czy tu mieszko Józef S., akademik?“

Józka obudziło już znane mu chrząknięcie, a przerażony otworzył nietylko oczy, ale i gębę. Po chwili dopiero zdołał wyjąknąć powitanie:

— „Ach! to kochany ojczulek!“

Stary wkraczał już całą osobą do stancyi, lecz gdyby nawet chciał, nie mógł się dalej posunąć i zmuszony był stanąć zaraz przy drzwiach. A był to szlachcic rzeczywiście „antiquo modo.“ Ubrany w długą, siwą, z letniej materyi kapotę, polskiego kroju z pętlicami, takie same dolne ubranie i wysokie buty, kamizelka zapięta pod szyją, którą okalała czarna jedwabna chustka wysoko zawiązana „na maszynie,“ czyli tak zwanej bindzie szczecinowej, pokrytej pikowaną materyą.

Od kieszonki kamizelki wisiał gruby łańcuch złoty, zakończony herbową pieczątką, wskazujący zaś palec prawej ręki ubrany w potężniejszy jeszcze staroświecki pierścień.

Szlachcic wyciągnąwszy prawą rękę przed siebie, roztworzywszy szeroko palce, rzucając nią poziomo na lewo i prawo jak wahadłem i patrząc na nas ponakrywanych fraczkami, żakietami i t. d., zapytał Józka:

— „Czy to twoje mieszkanie?“

— „Moje ojczulku kochany!“

— „No, to widzę przynajmniej za co płacę — a odwróciwszy się, wychodząc rzekł:

— „Ja tam zaczekam na dole!“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kupiono więc dobra za te 800.000 złr. — które jednak obecnie przedstawiają — *najwyższą wartość*, od 550 – 600 000 złr. — W taki sposób, 200.000 złr. wsiąkły gdzieś — i ulotniły się w powietrzu. — Ojciec — opiekun postanowił się zająć odpowiedniem wychowaniem syna; — a ponieważ trudno żądać, aby taki potomek i mający takie fundusze, chował się w towarzystwie plebsu w szkołach krajowych — lub w ogóle w kraju, troskliwy ojczulek — opiekun — wyjechał z nim do Pragi — aby tam go podług własnej metody *edukować*. — Rzeczywiście młodzieniaszek — milutki blondyn, rósł w wiedzę — *dojrzewał* szybko — kształcił się siłą pary, a przykładem nieocenionym był mu ojciec.

Wkrótce też zabrakło gotówki — ale od czegoż są dziś weksle — i inne praktyki finansowe. — Jest tylko jedna niedogodność, a to ta, że ludzie są tak naiwni, iż im nawet same weksle jako takie nie wystarczają, ale żądają ich zrealizowania. — Na te wymagania inaczej się zapatrywali ojciec opiekun i syn pupil. — O żywocie ich, a szczególniej przykładach, dawanych przez ojca opiekuna synowi, i po dziś dzień krążą jeszcze w Pradze nad Wełtawą — jakieś legendy.

Po rozmaitych innych wycieczkach, nie pomijając Monaco, postanowiono wrócić na grunt krajowy, gdzie dla takiego pełnego nadziei młodzieńca, potomka hetmańskiego rodu otwierało się wdzięczniejsze pole. Nie mając jednak zamiaru pisania powieści — powiemy tylko tyle, że ruch młodzieniaszka przez 2 lub 3 lata we Lwowie i Galicyi — mógłby podać treść do tomowej kroniki skandalicznej, do czego to jest zdolny rozgnojony moralnie umysł.

W życiu tego potomka hetmańskiego zastanawia tylko jedna zagadka psychologiczna, a mianowicie ta, że młodzieniec ten anemiczny duchowo, nie miał właściwie jak to mówi, żadnej pasyi. — Pomimo to grzeszył, walał się w błocie, i *żył* wszystkimi zmysłami.

Dosyć powiedzieć, że w kilka lat zrobił tylko: 208.000 złr. długów. — Że mu zaś ojciec opiekun i braciszek prawnik — towarzyszyli wiernie w marnotrawstwie — to jest zresztą powszechnie wiadomo.

Młodzieniaszek nareszcie doszedł do pełnoletności — ale wzięto go w kuratelę — i znowu ojciec — został opiekunem kuratorem.

Gdy zaś dalsze marnotrawstwo zaczęło się już ocierać o kodeks karny — ustanowiono dopiero wtenczas innego kuratora. — Ten wziął wprawdzie w żelazną rękę na wpół zrujnowaną fortunę — ale trafił na takie przeszkody, iż wszelka jego działalność stała się wątpliwą. Kuratorya taka nie mogła naturalnie być pożądaną dla ojca opiekuna — braciszka i innych indywiduów, którzy postanowili za jaką bądź cenę, jak najprędzej podzielić się z właściwym dziedzicem.

Mianowicie, gdy stanęła cała legia wierzycieli najróżniejszej kategoryi, dopominających się już natrętnie swych należytości, mianowicie ci, którzy zostali w podstępny sposób zrabowani, odarci z wszelkiego mienia, — gdy tylko jedynie poczucie honorowe mogło jeszcze położenie uratować, — a bez tego otwarte wrota kryminału coraz się jaśniej zarysowywały, — zrobiono radę familijną — w której głównie najbliżsi krewni poradzili co następuje:

„Młody niefortunny potomek krwi hetmańskiej, opuści cichaczem kraj — i przeniesie się do Rossyi. Tam przejdzie przedewszystkiem na *prawo sławie*, a potem, ztamtąd jako rossyjski poddany i prawosławny — postara się o zniesienie kurateli i wydanie mu majątku".

Ta potworna rada nie jest bynajmniej wybrykiem fantazyi, ale smutną nader prawdą — na co schodzą stare rody, i jak nikczemnie uszczuplają ojczyznę.

Jak pomyślano, tak się stało. — Potomek hetmanów od sześciu miesięcy zniknął z widnokręgu galicyjskiego, pojechał rzeczywiście do Rossyi, i jak wieści dosyć uzasadnione krążą, już tam miał przejść na prawosławie.

Na tem jednak nie koniec, gdyż teraz dopiero wychodzi na jaw prawdziwa myśl tej ratunkowej akcyi.

Jak wyżej nadmieniliśmy, krąży mnóstwo weksli wystawionych przez marnotrawcę, a akceptowanych przez ojca — opiekuna, — który tych podpisów nie chce uznać, lecz twierdzi, że został *podpisywany*.

Nowy kurator, który łatwo mógł przewidzieć, do czego taki plan dąży — postanowił weksle te zapłacić, — czemu się jednak były opiekun ojciec najusilniej sprzeciwia na drodze prawa — naturalnie, *jedynie zapewne z powodu nieuszczuplenia mienia synalka*, — który wobec kolizyi z prawem karnem nie może już tu powrócić.

Jakiż to jaskrawy obraz naszych stosunków społeczno-moralnych? — Nie dosyć, że fortuna 800.000 złr. została w kilku latach przez najwstrętniejszą rozpustę i rabunek do 300.000 obniżoną, ale aby takową do reszty zrabować i roztrwonić, potomkowie starego rodu uciekają się do tak nikczemnych praktyk!

Na sprawę tę, która wkrótce wywleczoną zostanie przed kratki sądów, uważamy za właściwe zwrócić uwagę odnośnych sfer.

O ile rzecz znamy, a zna ją szerszy ogół, to nastręcza ona cały szereg faktów, które wzięte pod ścisłe śledztwo, wykazałyby, jak to spełniają swe obowiązki opiekunowie przy pomocy sprytnych pomocników adwokatów — jak wychowują, pilnują swych pupilów — i w co się obracają nawet milionowe fortuny.

Ci, którzy znali bliżej tego młodego potomka hetmańskiego rodu, twierdzą, iż pod ręką uczciwego opiekuna — byłby wyrósł na zacnego obywatela, albowiem nie brakowało mu wrodzonych szlachetnych instynktów. — Rozgnojony zaś został *głównie* przez ojca opiekuna, braciszka i tych co mu byli najbliżsi.

Gdy zaś rozbój ten moralny i materyalny nie był tajemnicą, — dla czego się nie znalazło i nie miało odwagi choć kilku przedstawicieli starych rodów, a spokrewnionych z potomkiem hetmańskim, którzyby położyli swoje *veto!* — któreby nie mogło pozostać bez dobrych skutków?

J. N. z O. G.

„Patryotyczne Tow. Wzaj. Pomocy 3. Maj"

„Fundusz Ratowania Narodu Polskiego i Ojczyzny"

Kopia specyalnego dodatku do protokółu posiedzenia z dnia 6. Grudnia 1886.

We wnioskach na dobro Towarzystwa, Narodu i Ojczyzny, Sekretarz Jeneralny powołując się na to, iż towarzystwo jest patryotyczną organizacyą, — powinno więc: goręcej czuć, śpieszniej działać i na seryo współpracować w rozstrzyganiu projektów patryotycznych i zasad:

1) Że, Polacy pod opieką wielkiej Konstytucyi Amerykańskiej, posiadają nieograniczoną swobodę w przedsiębraniu patryotycznych prac dla podniesienia Narodu Polskiego i odbudowania Ojczyzny, — nadto, większe i łatwiej zdobywają środki do utrzymania, aniżeli Bracia nasi, gnębieni pod zaborami: pruskim i moskiewskim — a ludu, o szczerem polskiem sercu, jest nas tu wielka gromada, świętym więc musi być obowiązkiem naszym, pracować nie tylko dla siebie samych w tym kraju, ale również, krzątać się bezustannie około odbudowania Ojczyzny.

2) Że, każdy bez wyjątku Polak, zamieszkały w Stanach Zjednoczonych, powinien na wzór Irlandczyka, praktycznie przyczyniać się do przeprowadzenia wyżej wskazanych wielkich idei, a najłatwiej może osiągnąć, pomagając do sformowania kapitału, którym będziemy mogli podźwignąć sprawę Ogólno-Polską.

Kilku lub kilkunasto-centowe Ofiary, składane regularnie przez wszystkich Rodaków, nie robią żadnej różnicy w wydatkach domowych, a przecież, stale, co miesiąc np. gromadzone, stworzą rzeczywisty fundament dla dalszych poważnych prac patryotycznych.

3) Że, punktem honoru i ambicyą każdego prawego Polaka musi być, aby, nie tylko sam pracował dla Ogółu Polskiego i Ojczyzny, ale również i innych pobudzał do podobnie zaszczytnej działalności i aby w tym duchu rozwinęła się śpiesznie jak najrozleglejsza szlachetna działalność, — stawiam następujące formalne wnioski:

a) Aby „Patryotyczne Towarzystwo Wzajemnej Pomocy 3ci Maj" uchwaliło w dniu dzisiejszym rozpocząć zbieranie składek na *„Fundusz Ratowania Narodu Polskiego i Ojczyzny"* i wszyscy stowarzyszeni składali dobrowolnie na ten cel ofiary a Zarząd asygnował co miesiąc z kasy po 5 cts. (25 centimów) od każdego z członków, którzy, prócz tego, pod kontrolą Zarządu, mają urządzić oddzielne kółka, dla agitowania tej sprawy wśród swoich stosunków.

b) Aby polecono Sekretarzowi Jeneralnemu wypracowanie szczegółowego programu zbierania i kontroli funduszów.

c) Aby agitacya w celu zebrania funduszów nie ścieśniała się, ani przestrzenią, ani miejscowością, ani czasem, ani wyznaniem lub przekonaniami ofiarodawców, ale sięgnęła wszędzie tam, gdzieby mogła zyskać dodatnie rezultaty dla „Funduszu Ratowania Narodu Polskiego i Ojczyzny.

d) Aby, uwzględniając specyalne żądanie Sekretarza Jeneralnego, wybrać budzących ogólne zaufanie (trustees'ów) opiekunów klasy i powierzyć im wszystkie odnośne fundusze, zaś Zarządowi Towarzystwa pozostawić zaprowadzenie całej kontroli, rachunkowości, urządzeń i agitacyi w tej sprawie.

Zebrani, wnioski powyższe w całej rozciągłości i z najwyższym entuzyazmem poparli i przyjęli, na opiekunów kasy wybrali jednogłośnie: E. J. Jerzmanowskiego, Dra H. P. Lewandowskiego i A. Landeckiego, wszystkich członków „Patryotycznego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy 3ci Maj" a na początek złożyli pomiędzy sobą w ciągu kilku minut 14 doł. 60 cts. (75 fr.).

Dr. *G. P. Lewandowski, F. P. Topor. W. Biald, A. Landecki, B. Langner, J. Chrzanowski, J. Glut, K. Szumski, E. Zieliński, F. Wierzbicki, H. Nowicki, K. Łazowski, P. Ostaszewski, W. Kunicki, J. X. Sobieski, J. M. Kossowki, W. Majewski, J. Wojcieszak, J. Rudziński, J. Mazurkiewicz, J. Gizyński, M. Meyendorff, A. Wieczorek, W. Rogaliński, F. Kowalski, W. Perkowski, S. Szczeciński, W. Szczeciński, J. Łyczywek, T. Łyczywek, L. Banachowicz, A. Głuchowski, F. Szczepiórski.*

(Pieczęć Tow.) F. H. Topor

Sekretarz Jeneralny 504 E. 13 street.

ODEZWA

do

Dzienników i Organów Krajowych których dotyczy.

Nowy-York, 8. Stycznia 1887.

Przyczyniając się do opieki nad emigracyą Polską w Ameryce, o ile siły pojedyńczego człowieka starczą, współczując niedolę nieszczęśliwych ofiar Polsce nieprzyjaźnych stosunków, nie mogę pominąć przedstawienia obrazu okropnego zawodu, jakiego doznają Wychodźcy, nieposiadający ani języka krajowego, ani niemieckiego, ani też polskiego. Do kategoryi tej należą szczególnie wychodźcy z gubernii Wileńskiej, Kowieńskiej, Suwalskiej a nawet z Galicyi.

Przybywają oni tutaj do Ameryki o wiele liczniej, aniżeli z innych stron, nie mając wcale żadnych warunków potrzebnych do wyrobienia sobie bytu w kraju, który nieskończenie wyżej nad ich kulturą stoi. Gdy jednak weźmie się na uwagę, że dzieje się to w zimie, w porze najmniej odpowiedniej dla wychodźtwa, którego tylko skromna ilość skromniejsze posiada środki, rozpacz bierze patrzeć na niedolę tych ludzi.

Zarobku w zimie trudno znaleść, pozostaje chyba kopanie węgla i rąbanie lodu. Siły pojedyńczego człowieka niezdolne zaradzić złemu, więc ponownie odzywam się do szanownej prasy i organów krajowych, ażeby używając głosu przestrogi, starała się wstrzymać tę nawalnicę emigracyi Polskiej, która ogołacając kraj z siły roboczej, dąży do Ameryki, chyba jedynie na własną zgubę.

Z głębokim Szacunkiem

Er. J. Jerzmanowski.

N-York, 28. Grudnia 1886.

W obserwujących pulsacyę życia narodowego naszej kolonii, szczególniejszy musiały budzić interes, kilka poprzedzających nas miesięcy, w ciągu których, szczególniej gorącem zadrgała tętnem patryotyczna działalność jednostek i całych korporacyj.

Przygaszona wiara w przyszłość narodu, rozpaliła się na nowo, apatya i zwątpienie ustąpiły miejsca nowej nadziei, — a z życia zamkniętego i ściśle ograniczonego do osobistych i towarzyskich spraw wewnętrznych, pogalopowaliśmy w podskokach na arenę szerszych prac ogólno-narodowych. Dyagnozując te niezwykłe postępy, za jeden z głównych bodźców uznać musimy, wydawane w ostatnich czasach przez Wandalów XIXgo wieku Prusaków i Moskali, coraz to nowe ukazy, rozporządzenia i barbarzyńskie wyroki, z góry obliczone na zagładę Polaków i zwierzęce pastwienie się tyranów nad narodem polskim, wyciągającym ręce po ratunek; stanęły jaśniej przed oczami: obecnie rozpaczne położenie i smutna przyszłość nasza, a popełniane na nas bezprzestannie gwałty, tak boleśnie dotykające cały naród, przyśpieszyły zrozumienie zasady, — że siłę, tylko siłą można odeprzeć, — a siły zdobywają się przez ciągłe jednoczenie się do wspólnej akcyi.

Z czasów tych radośniejszych potężnienia ducha, uwydatnić musimy wysoce patryotyczne i daleko w dobrych zamiarach sięgające prace szano-

wnego rodaka E. J. Jerzmanowskiego, z pomiędzy których na szczególną zasługuje uwagę utworzenie „Biura Organizacyi Narodowej“ to jest instytucyi, która, w duchu przeprowadzenia wszelkich idei, miała łączyć w jedno ciało: wszystkie gotowe już towarzystwa w Nowym-Yorku i okolicy, nadto organizować nowe, podtrzymywać i rozwijać patryotyzm, tak zaspany w naszej kolonii.

Instytucye podobne, w poważnem rozumieniu prac patryotycznych i pola działalności, niezmierną mogłyby mieć doskonałość, głównie zaś dla kolonii, jak nasza, licząca kilkanaście w bliskości położonych towarzystw polskich, zbyt jednak oddalonych od głównej patryotycznej metropolii „Rządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego w Bay-City“ bo instytucye takie, oddając niezmierne usługi Związkowi, zapewniałyby jednocześnie: postęp, ciągłość i jednostajność prac patryotycznych tak jednostek jak i całych korporacyi.

Z chlubą też wspominać będziemy imiona wybitniejszych pracowników w organizacyi patryotycznej ostatnich czasów jak: Majora i Kapitana „Wolnych Strzelców Polskich“ W. i F. Dąbrowskich i Prezesa Tow. „Keściuszko“ p. Grodzkiego“ — Prezesów nowo zorganizowanych towarzystw: T. Kornobis w Brooklynie „Orzeł Biały“, Dra H. P. Lewandowskiego „Patryotyczne Wzajemnej Pomocy 3ci Maj“, K. Alzarowicza w południowym Brooklynie „Polska Chorągiew“, L. Ombacha w Newarku „Pułaski“, nadto wielu innych patryotów, poszczególowe wymienienie których zabrałoby zbyt wiele miejsca.

Z owych to pięknych chwil egzystowania Biura Organizacyi Narodowej uwydatnić jeszcze wypada szczególniej wybitną pracę organizacyjną, to jest stworzenie wyżej już wspomnianego, w patryotycznych kierunkach towarzystwa pod nazwą „Patryotyczne Towarzystwo Wzajemnej Pomocy 3ci Maj“, które wzięło sobie za zadanie: pracować w poważnym kierunku nad odrodzeniem narodu na drogach: duchowej, ekonomicznej i politycznej; wykazywać drogi, jakiemi zdążać należy do osiągnięcia zamierzonych celów i w ogóle, wyrażać przez opinie i czyny te zadanie, jakie mają do spełnienia Polacy w Ameryce.

Stowarzyszeni, obejmując umysłem cały ogrom prac, koniecznych w tym kierunku, nie łudzą się, iż na własnych barkach podźwigną wszystko lub wiele. — pragną oni jednak, w myśl pięknej sentencyi „niech każdy czyni — co każe Duch Boży — a całość sama się złoży“ pracować ile tylko siły starczą, a specyalnym kierunkiem patryotycznej organizacyi towarzystwa, dać impuls do tworzenia większej ilości towarzystw — w podobnym, dalej sięgającym zakroju i rozbudzić szerszy ruch myśli i energiczniejszą patryotyczną działalność.

Organizatorzy „Patryotycznego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy 3ci Maj“ mając na uwadze przeszłość naszą historyczną, także obecne stosunki Polaków w Ameryce, na ważne pytanie: co chcemy i jaką drogą iść mamy, jasno wypowiedzieli swoje cele w konstytucyi. Streszczamy je:

a) Podniesienie bytu materyalnego stowarzyszonych.

b) Prace szersze nad rozwojem umysłowym, utrzymanie dodatnich stron ducha i charakteru polskiego.

c) Podniesienie politycznego stanowiska i wpływu członków, dopókąd pozostają w tym kraju.

d) Inicyatywa i współdziałanie w pracach i ideach, dążących do podniesienia Narodu Polskiego i odbudowania Ojczyzny.

Dla osiągnięcia powyższych celów, stosują się następujące środki:

a) Wzajemne popieranie: radą, rekomendacyą, protekcyą i pomocą materyalną.

b) Przystąpienie do Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjednoczonych.

c) Sformowanie przy towarzystwie kasy zapomogi na wypadek choroby.

d) Urządzenie dla stowarzyszonych kas: zaliczkowo-wkładowej, pożyczkowej i oszczędności.

e) Urządzenie biblioteki i czytelń, zaopatrzonych w wyborowe, poważnej treści dzieła i dzienniki.

f) Organizowanie poważnych rozrywek w formie prelekcyi, odczytów, pogadanek, zebrań, sesyi i dyskusyi patryotycznych, rozwijających umysł, kształcących i uszlachetniających uczucia i serce. Od czasu do czasu urządzanie zabaw wokalno-muzykalnych i deklamacyjnych, o ile możności siłami stowarzyszonych.

g) Zabieranie głosu: prywatnie, publicznie i przez pośrednictwo prasy w odnośnych sprawach polskich większej wagi.

h) Utworzenie oddziału statystycznego, zbierającego dane: o położeniu, pracach, siłach i zamiarach emigrantów polskich w całym świecie, — oraz biura adresowo-informacyjnego, względnie do stosunków polskich w Ameryce.

i) Wyrabianie obywatelskich papierów dla stowarzyszonych i załatwianie spraw pomiędzy nimi i władzami amerykańskiemi.

Kto głębiej wniknie w jakość środków, mających doprowadzić do zamierzonych celów, zrozumie całą objętość przewidywanych prac i łatwo upostaciuje sobie całe dalsze programy „Patryotycznego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy 3ci Maj“.

Niech nam tu wolno będzie wyrazić przekonanie, że Związek Narodowy Polski w Ameryce, którego stanowimy część składową i w którego przyszłych szerszych pracach tak wiele pokładamy nadziei, wtedy tylko dojdzie do koniecznych dla sprawy ogólnej rozmiarów znaczenia i możności, gdy każda jego część składowa, to jest: grupa, więcej nawet, każdy związkowy, działać będą prawdziwie a nie gołosłownie w przedsięwzięciach patryotycznych i w ten tylko sposób. z pojedyńczych, nieznacznych usiłowań otrzymały potężne rezultaty.

Naprzód więc Bracia Rodacy! Bezprzestannie naprzód w szlachetnej konkurencyi: współpracowania dla podniesienia Narodu i odbudowania Ojczyzny! Niechaj się nieogląda jeden na drugiego, ale każdy, bez różnicy zajmowanego stanowiska poziomu umysłowego i majątkowego, nietylko staje w szeregi związkowych, ale nadto, spełni święty obowiązek Polaka, gorący przyjmując współudział w przeprowadzeniu zamierzonych prac i celów patryotycznych!

Polecając gorąco Szanownym Rodakom ważne odczytanie obszerniejszej ustawy „Patryotycznego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy 3ci Maj“, zauważyć musimy, iż to, nieograniczając się tylko pracami li tylko na wewnątrz towarzystwa, i pragnąc zachęcić szerszy pozamiejscowy ogół do współpracy patryotycznej, utworzyło, oprócz Członków czynnych, następujące kategorye członków:

a) Honorowych, tak mianowanych za szczególniejsze zasługi, położone dla dobrobytu lub urzeczywistnienia idei i celów towarzystwa, lub spełniających wybitne prace ela podniesienia Polskiego Narodu i odrodzenia Ojczyzny. Członkowie honorowi nie wnoszą żadnych opłat, z dobrej tylko woli i przekonania popierają sprawy i dążenia towarzystwa, na drodze i w sposób, jakie, w porozumieniu z Zarządem, uznane będą za najstósowniejsze. Otrzymują oni od towarzystwa sprawozdania i relacye o postępie, spełnionych już prjektowanych pracach i mają głos doradczy, wypowiedziany ustnie lub piśmiennie, a bez względu na miejsce zamieszkania otrzymują nominacye i dyplomy honorowe.

b) Protektorów, którzy składają jednorazowo 100 dolarów lub 5% miesięcznie, na poparcie celów, wyrażonych w ustawie i jeżeli aplikacya ich przyjęta zostanie przez zgromadzenie ogólne, zyskują miano protektorów; nieponoszą żadnych opłat, ciążących czynnych członków i korzystają z praw i przywilejów, służących Członkom honorowym.

c) Korespondentów, którzy zamieszkują w oddalonych okolicach, w całym świecie i przyjmą pewne stałe zobowiązania względem towarzystwa, a przez współprace, dostarczanie wiadomości i dane, chociaż z daleka pomagać będą do rozwoju idei i celów, objętych ustawą. Nie ponoszą żadnych opłat, a w miarę zasług ich i możności towarzystwa będą odpowiednio honorowani.

Obecny Zarząd „Patryotyczny Towarzystwa Wzajemnej Pomocy 3ci Maj“ składają: Prezes Dr. *H. P Lewandowski* Wice-Prezes *W. Biald.* — Sekretarz Jeneralny *F. H Topor*, — Sekretarz finansów *B. Langner*, — Kasyer *A. Landecki.*

Sekretarz Jeneralny, po za zwykłemi obowiązkami, jest oficyalnym korespondentem towarzystwa do gazet, wychodzących w kraju i za granicą i z urzędu odpowiada na wszelkie odnośne do towarzystwa artykuły, pomieszczane przez redakcye lub osoby prywatne, nadto, również z urzędu zabiera głos przez pośrednictwo prasy w sprawach większej wagi dla stosunków polskich.

Stowarzyszeni, organizując się, zawiązali szczery i solidarny braterski sojusz i przyrzekli niestrudzenie pracować dla dobra swego Narodu i Ojczyzny, a w stosunkach pomiędzy sobą: wspomagać, szanować się i bronić wzajemnie; krzywda jednemu uczyniona dotyka innych: „Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich“.

Nie mogąc nadużywać gościnności, łaskawie udzielonej w szanownym organie, jakkolwiek obfity posiadamy materyał do korespondencyi, tymczasowo notujemy tych kilka słów dla wiadomości wszystkich Rodaków i zapraszamy najuprzejmiej do jak najszerszej współpracy patryotycznej, zapisywanie się na członków „Patryotycznego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy 3ci Maj“, obdarzenia nas uwagami i korespondencyami i żądanie bliższych objaśnień, które niezwłocznie udzielimy.

1 Egzemplarz Konstytucyi „Patryotycznego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy 3ci Maj“ kosztuje łącznie z porto 1 fr.

Przy korespondencyach prosimy dołączać pocztowe marki na frankowanie odpowiedzi.

F. H. Topor.

Adres urzędowy Towarzystwa:
F. H. Topor, N.-York City, 504 E. 13 str.

(*Kuryer polski w Paryżu*).

„Nasze Sokoły“.

Komu włos jeszcze nie osiwiał wśród nieustającej walki ducha w czasie całego żywota, walki o najświętsze ideały, kto nie stanął jeszcze na rozdrożu pomiędzy przeszłością a mogiłą — ze zbolałem sercem, pełnem zawodów minionych i chybionych nadziei, jakiemi żył jedynie i te mu sił dodawały, ten zrozumie, jaka się w nim budzi radość, gdy chociaż przy schyłku zachodzącego słońca wydobędzie się promień z po za ciężkich chmur i ogrzeje go ożywczem ciepłem.

Stało się to już nieomal prawem natury, że człowiek taki patrzy ze spokojem i śmiało w mogiłę, gdy widzi, że tę spuściznę ideałów nie pozostawi skarłowaciałym na duchu i ciele spadkobiercom, bo znowu odradza się pokolenie z męzką i zdrową siłą ciała. A gdzie na niej nie zbywa, tam zwykle i duch się podnosi.

Takie wrażenie sprawiła na nas wielka rewia n a s z y c h zuchów Sokołów, którą odbyli w piątek dnia 25. Lutego wieczorem w sali gmachu „Sokoła“ na pamiątkę 20-letniej rocznicy założenia tegoż Towarzystwa.

Zaiste — nie pamiętamy dawno tak radosnej chwili i tego świetnego obrazu, jaki się oczom preedstawił. Nie była to uroczystość w ścisłem słowa znaczeniu publiczna — ale jakby jednej wielkiej rodziny. Nie rozsyłano nawet jak zwykle zaproszeń, gdyż wstęp do sali i na galeryę otwarty był tylko dla rodzin Sokołów i ich najbliższych przyjaciół, protektorów i honorowych członków. Pomimo to blisko jedna czwarta część sali, gdzie zbudowano amfiteatr, była do ostatniego miejsca zapełnioną. Przeważały matki, żony, siostry — i może i d e a ł y Sokołów.

O godzinie 7. wszedł na salę szanowny prezes Towarzystwa Dr. Żegota K r ó w c z y ń s k i, jakby jaki skromny, cichy hetman, otoczony grupą umundurowanych „Braci Sokołów.“

Po krótkiej ale treściwej przemowie, opowiedział założenie i dzieje Sokołów lwowskich i ich szlachetne cele. Sympatyczny głos tego skromnego ale dzielnego przewodnika Sokołów, wywarł nader przyjemne wrażenie, pokryte grzmotem oklasków.

Muzyka zagrała marsza. Z bocznych drzwi sali zaczęły maszerować dwójkami szeregi Sokołów, ubranych w trykotowe koszulki bez rękawów i z odsłonionemi szyjami. Serce z radości coraz żywiej bić zaczynało, a dusza aż się rwała do tego wspaniałego zastępu, przedstawiającego życie i siłę, gdy w oczach błyszczała pewność siebie. Ewolucye te marszowe były rzeczywiście prześliczne i pełne uroku. Z największą precyzyą rozwijały się szeregi i dwójki lub skupiały. Marsze w różnych kierunkach i kontramarsze, defilada pojedynczych szeregów i znowu łączenie w pełne efektu figury.

A jakaż to radość była spojrzeć na niejedno goło ramię, które nie dawno temu jak piszczałki lub patyczki zwisały z ramion, a dziś pełne, drgające tęgością muskułów, co to nie daj Boże komu, gdyby taki Sokół płatnął szablą lub pchnął bagnetem.

Po wyczerpaniu skrętów marszowych, odezwał się głos głównego komendanta D u r s k i e g o, a szeregi sformowały kolumnę czworoboczną. Po otwarciu szeregów czyli wzięciu odstępów, rozpoczęła się gimnastyka szwedzka, czyli ruchu ciała na miejscu, z wyrzutem rąk, nóg, zajmowanie poz gimnastycznych, jakby gladyatorskich, a co wszystko świadczyło o pilnych ćwiczeniach i skutkach dodatnich tychże.

Dodajmy do tego wszystkiego szczególny wzgląd na każdy ruch estetyczny, w którym pomimo widocznej siły fizycznej, nie mało się zwraca uwagi na formy estetyczne.

Taki był pierwszy akt tej rewii.

W mgnieniu oka bez lokai i służby, bez hałasu, sami Sokoły rozstawili przyrządy gimnastyczne do skoków, woltyżerki, ćwiczeń na drążku poziomym (reku),

na mostku poręczowym i t. d. Stanąwszy w grupach, rozpoczęli Sokoły popisy. Najprzód nauczyciel w każdej grupie przoduje, wskazując ruch skoku, rodzaj i odmianę tegoż, a za nim tuż w lot czynią to samo inni Sokoły.

Cóż to za satysfakcya patrzyć, gdy po gołowąsym jeszcze młodzieńcu, daje susa wąsaty i brodaty dr. praw, filozofii, kantorzysta, rękodzielnik, wyższy inżynier, technik, literat, kasyer, lub buchalter bankowy, artysta, profesor; — a wszyscy jakby rodzeni bracia rywalizują z sobą w szlachetnej sile i zręczności, bez względu, czy który ukończył szkołę ludową, lub uzyskał stopnie akademickie, czy nosi herbowe nazwisko, lub wyszedł z ludu, z pod słomianej strzechy, albo z pod małomiejskiego dachu. Tu chcąc stanąć w szeregu, potrzeba być tylko prawym, czystym człowiekiem, znać co honor i cześć osobista — bo to są bracia S o k o ł y.

Kulminacyjnym punktem tej sokolej rewii były produkcye na tak zwanym „reku“ amerykańskim, wykonane przez naczelnika, tego ucieleśnionego polskiego Herkulesa i 12 towarzyszy, przewodników i nauczycieli gimnastyki.

Znane nam są towarzystwa gimnastyczne czeskie, szwajcarskie, francuskie, niemieckie, znane nam są popisy na wielką skalę, ale wyjątkowo zdarzało nam się patrzyć na takie wyrobienie muskułów, na tę jakby ze stali sprężynowej wykutą giętkość ciała. Ćwiczenia takie na tym „reku“ amerykańskim — to rzecz tylko prawdziwych matadorów siłaczy, a zręcznych jakby nie ludzie ale koty. Najmniejszy fałszywy rzut, bez obliczenia naprzód swych sił i pewności użycia tychże, narazić może śmiałka na połamanie kości, kalectwo, a nawet śmierć.

Naszym Sokołom atletom szło to wszystko jak z płatka, jakby ich to nic nie kosztowało. Nie było też końca frenetycznym oklaskom i serdecznej radości widzów. Dwie godziny popisów przeszły jakby jedna minuta, po których Dr. Łuczkiewicz, dyrektor zakładu, dziękując gościom za przybycie, wezwał ich, aby popierali rozwój Towarzystwa, a mianowicie, aby matki, żony i siostry przysyłały swych synów, mężów i braci.

Przedstawiliśmy ducha siły Sokolej fizycznej, ale nie wolno nam pominąć i wyłącznie duchowej.

Towarzystwo „Sokołów“ lwowskich jest pierwszem, w którego łonie kładzie się równą wagę i na ćwiczenia k a r n o ś c i, przeprowadzane z niezłomną wolą i energią, bez względu na stanowisko społeczne i wiek pojedynczego Sokoła.

Poczucie własnej osobistej godności, poszanowanie tejże na każdym kroku, nietylko stojąc w szeregu, ale w publicznem i codziennem życiu społecznem, bez zmazy, bez skazy, panowanie nad swemi słabostkami i namiętnościami, oto jest hasło tej dzielnej legii. Tu należy szukać jej siły i odrodzenia mężkości.

Rzeczą jasną, że takie Towarzystwo musi zyskać w całym kraju nietylko uznanie i miłość współobywateli, ale rzetelną wdzięczność, bo któż, jaka siła i jakie inne środki mogą usunąć charłactwo, niedołęztwo ciała a tem samem i ducha, które dziś tak widocznie w teraźniejszem pokoleniu występuje na widownię?

Ziarno, jakie Sokoły lwowskie zasiewają, pada na wdzięczną glebę, gdyż oprócz tegoż mamy ich Towarzystwa: w Krakowie, Tarnowie, Rzeszowie, Tarnopolu, Stanisławowie, Kołomyi, a najnowsze w Wadowicach. Jest więc niepłonna nadzieja, że Towarzystwa Sokołów ogarną całą sieć kraju, którego znowu obowiązkiem jest popieranie Sokołów na każdym kroku. Na szczególny szacunek zasługują członkowie starsi, mianowicie ci, którzy bez względu na stanowisko, jakie zajmują, nie wstydzą się przywdziać munduru Sokolego, i poddać się obowiązującej karności. Takich, daj Boże jak najwięcej pomiędzy rzeszą Sokolą.

Z przyjemnością zaznaczamy i to, że matki zaczęły uznały nareszcie za właściwe zastósowanie do wychowania córek higieny gimnastycznej, a dziś bierze już udział 70 panienek. Naturalnie, gimnastyka ta, zastósowaną jest tylko do pewnych granic. W każdym razie, odgrywa ona nader ważną rolę w wychowaniu kobiety. Taka gimnastyka przyczynia się do usunięcia anemii i różnych zboczeń fizycznych, które się już prawie stają dziedzicznemi. Skutki gimnastyki, szczególniej dla młodych panienek, stają się po prostu zbawiennemi.

Panie wprawdzie narzekają, że Tow. Sokołów oddaje im salę do ćwiczeń/tylko w pewnych wyjątkowych godzinach, a niedogodnych dla nich. Temu jednak na razie trudno zaradzić, a jedynym sposobem, mianowicie gdy potrzeba gimnastyki kobiecej daje się czuć wyraźnie, dotychczasowy zaś gmach Towarzystwa nie wystarcza, — cóż łatwiejszego, gdyby była szczera wola po temu, aby płeć piękna wzięła się z właściwym sobie sprytem i silną wolą — do zbierania składek na przybudowanie sali gimnastycznej dla kobiet. Niech im się to przedsięwzięcie nie zdaje za trudne, za niewykonalne, — a prędzej go dokonają, aniżeli im się dziś zdawać może.

Grosz do grosza ciułać, chociażby zrezygnować z jakiegoś bezwartościowego fatałaszka, zaoszczędzić cośkolwiek na ten cel, a spełni się wielki obowiązek obywatelek kraju. Spróbujcie tylko panie, panny i panienki, a przekonacie się, jak szybko dokonacie dzieła.

Po produkcyach odbyła się w górnych salach uczta Sokola, która im się słusznie należała. Uczta ta była pełna życia, humoru i werwy Sokolej. Mowy, toasty, śpiewy, — nie brakło „Mnohaja lita,“ — ale gdy opisy tego rodzaju nie należą do naszych specyalności, pozostawiamy je innym sprawozdawcom.

Dwom Sokołom, pp. C e n a r o w i i T y b l e w i c z o w i, nauczycielom gimnastyki, za 15- i 16-letnią służbę, wręczono pamiątkowe pierścienie.

Uniwersytet i Politechnika były tylko przez jenego delegata reprezentowane, p. Chryścińskiego.

Brawo młodzieży akademicka!

J. N. z O. G.

Korespondencye.

Sofia 17. Lutego 1887.

Nadesłane wiadomości, jakie mamy w tej chwili z Konstantynopola, są tej treści, że paktowanie deputacyi bułgarskiej z ambasadorem rossyjskim P. Nelidowem, i z wielkim wezyrem, *miało przyjść* do pewnego porozumienia, — mianowicie pojednanie się Cankowa z deputacyą i regencyą. (?). — Po powrocie deputacyi do Sofii, regencya ma zaraz zwołać zgromadzenie narodowe i jemu złożyć regenctwo, — jako pierwszy warunek do dalszego traktowania i zbliżenia się z Rossyą. Nelidow miał położyć nacisk, aby zgromadzenie narodowe najpród przyjęło i podpisało akt, że książę A. *Battenberg* nie może już więcej powrócić na tron bułgarski, ani też żaden z familii lub potomków jego. Potem ma być także przedłożony wybór innego księcia, ale rozumie się tylko takiego, który będzie tańcującą lalką Moskwy. — Cankow miał nalegać także na w. wezyra, aby ministrem wojny dla Bułgaryi i oficerami wyższych stopni byli sami Rossyanie, — czemu miał się wielki wezyr stanowczo sprzeciwić i co miało być pewną przerwą do dalszych układów. Dziwna rzecz, zkąd taka odwaga w. wezyra, właśnie kiedy Turcya odgrywa dzisiaj dość wybitną rolę osiodłanego kozła Rossyi. — P. Wułkowicz, agent bułgarski w Konstantynopolu, miał także oświadczyć wielkiemu wezyrowi, że obecnie w Bułgaryi niema partyj. I ja się z tem zgadzam, chociaż was w niemałe zdziwienie wprowadzę, to jest w tym punkcie, że d z i e g i e ć jest tutaj zanadto pachnącem kadzidłem dla Bułgarów.

Prawie wszystko, co tylko było i jest wybitniejsze, przechyla się, umizga i obraca koło tej osi Północy. Tyle okrzyczany Karawełów, który stał nieżachwianie na czele rządu za czasu księcia A. Battenberga, był wtenczas nieprzejednanym wrogiem polityczym p. Cankowa, a dzisiaj ten sam p. Karawełów, wspólnie z byłym ministrem wojny Nikiforowem, i byłym ministrem spraw wewnętrznych Sławejkowem, podpisali akt protokolarny i wysłali do Cankowa, aby on przedłożył wielkiemu wezyrowi i p. Nelidowowi, że podpisani w z u p e ł n o ś c i podzielają polityczny program Cankowa.

Wszystko teraz zaczyna powoli wychodzić na jaw, co sami ministrowie byłego księcia Aleksandra robili bez jego świadomości, bo miał największe zaufanie do nich. — Tymczasem pokazało się, że wszystko to było podsmarowane tłuszczem i okryte skorą niedźwiedzią. — To też niema wątpliwości, że ci panowie najwięcej się przyczynili do dzisiejszego smutnego stanu Bułgaryi — i do upadku księcia Battenberga. — Jeden tylko z byłych ministrów księcia p. Radosławów, co jeszcze dotrzymuje placu, — ale czy i on na długo? — Dziwna rzecz, po co deputacya bułgarska jeździła po dworach europejskich, — czy tylko dla pozoru, czy też dla obałamucenia publiczności i zbadania za wskazówką Moskwy planów dyplomatów, jeżeli w końcu wszystko ma się kończyć i kleić z p. Nelidowem? — Zawsze utrzymywałem i powtarzam, że próżne marzenia i daremne usiłowania dyplomacyi europejskiej, aby złamać przeważający tutaj wpływ Rossyi szachrajstwami dyplomatycznemi, albo drogą pokojową. Dyplomacya może tylko na pewien czas ten wpływ podkopać, ale za to ciągłe przewlekanie „statuquo“ — i majaczenie dyplomacyi, może zrobić jutro tem jaskrawszy i stanowczy wpływ Rossyi. — Żadne matactwo ani półśrodki dyplomatyczne, nie potrafią nigdy zboczyć Rossyi z drogi ku Bosforowi — bo wpływ Rossyi, i sposoby jakie ma ku temu na półwyspie bałkańskim, niechaj raz te mocarstwa, którym o życie chodzi, przekonają, że wpływ ten nie może być innemi środkami zwalczony, jak tylko orężem. A czem dłużej ta żywotna kwestya będzie się przewlekać pokojowo, tem gorecej będzie później dla tych, którzyby chcieli zagrodzić drogę pochodowi azyatycko-kozackiemu do Złotego rogu. — Wtenczas, na prawdę zobaczy Europa *nowo odrodzoną moskiewską słowiańszczyznę* z knutem w ręku.

Sofia 23. Lutego 1887.

Przed kilku dniami były znowu nowe aresztowania. W drukarni p. Proszka, Czecha i w okolicznych domach, gdzie zamieszkują regenci, odbyto ścisłe rewizye. Szukano proklamacyj i broszur, które miały być nadesłane od partyi Cankowo-moskalofilskiej z Konstantynopola. Policya podobno także wpadła na ślady podkopywania i *szukano min które miano podłożyć pod domy, w których zamieszkują regenci.*

Przeszło 30 osób aresztowano, ale wielu z nich na drugi dzień powypuszczano. Między aresztowanymi byli także austryacy poddani, którzy pracowali w drukarni. Po głównych miastach w Bułgaryi organizują się tak zwane „komitety obronne,“ które mają za główny cel oddziaływać i mieć baczne oko na wszelkie działania i obroty partyi Cankowo-rossyjskiej. Interesująca rzecz, że pierwszy przykład dała do tego sławna Plewna z ostatniej wojny turecko-rossyjskiej, a która jest naokoluteńko otoczona wielką ilością mogił i kilkunastoma kolosalnymi pomnikami, które rząd rossyjski swoim kosztem po wojnie powystawiał. Na każdym pomniku po wszystkich stronach są powypisywane imiona poległych wyższych oficerów moskiewskich, między którymi jest wielka ilość imion polskich.

W razie wojny Austryi z Moskwą, powinni Polacy na wszelki spsób wystrzegać się tego, aby obcy nam północny kolos, znowu nie stawiał podobnych pomników nad grobami poległych synów Polski, że ginęli dla wierności i sławy caratu. Każdy Polak powinien być dziś przeświadczonym o tem, że każda kropla krwi polskiej powinna być oddana tylko temu, kto szanuje prawa narodu polskiego.

Układy między deputacyą bułgarską a Nelidow-Cankowem nie przyszły do stanowczego porozumienia, bo p. Nelidow stał po stronie Cankowa i nie chciał ani na jotę odstąpić od przedłożonych przez Cankowa warunków. Dziś jutro oczekują też powrotu deputacyi do Sofii. Z gorączkową też niecierpliwością wyczekuje publiczność, jakie kroki przedsięweźmie Regencya po powrocie deputacyi dla zabezpieczenia Bułgaryi. Czy zwoła zaraz Zgromadzenie narodowe i przedłoży warunki Cankowsko-rossyjskie, albo też powrót księcia Aleksandra Battenberga? To ostatnie równałoby się wydaniu Rossyi wojny. Nie podlega wątpliwości, że ludzie, którzy trzymają dziś ster Rządu, byli i są wiernymi dzielnemu księciu Battenbergowi. Można przyznać, że szczęściem jest dla Bułgaryi, iż się znalazło kilku ludzi, co tak chlubnie utrzymują porządek i rygor w wojsku, inaczej nie byłoby się obeszło bez rozlewu krwi. Do tych kilku należy p. Radosławów. On właśnie jest dzisiaj filarem Bułgaryi.

†

S. p. Roman Adam August Wilhelm
Książę na Klewaniu i Żukowie
CZARTORYSKI.

I znowu uderzył grom — w szeregi naszych dzielnych bojowników. Przestało bić gorąco miłujące serce Ojczyznę i to w chwili, gdy nam takiego rycerstwa bez zmazy i skazy może najwięcej potrzeba.

Wieść o śmierci ks. Romana Czartoryskiego aczkolwiek na długo poprzedzona chorobą ciała, wzbudziła żal wielki, bo to strata w szeregach naszych niepowszednia. — I nie dziw, bo to był potomek wielkiego rodu, którego cały żywot łączył się, był zmieszany z dolą nieszczęśliwej ojczyzny Polski. — Po Bogu, była ona mu jedynem ideałem na ziemi. — Od lat młodzieńczych, gdy tylko zaczął myśleć i odczuwać, nie szczędził pracy, aby wniknąć i poznać wszystkie bole te wielkiej Męczennicy. — Książę z rodu po mieczu i kądzieli, a nie gonił za osobistemi zaszczytami, nie czwanił się przeszłością przodków, nie zamarzył nawet żyć ich sławą, ale tak jak rozpoczął służbę wierną szeregowca — wytrwał w niej aż do końca. — Nie zmieniał on zdań i przekonań swych, ale wierny nauce tradycyjnej katechizm narodowego, nie zboczył ani kroku z tej prostej drogi naszej przyszłości. — Bez względu, czy mu to będzie poliezone za zasługę, lub wzbudzać niechęć u inaczej myślących, nie brakło mu nigdy cywilnej odwagi, aby mówić to, co sumienie dyktowało. — A przyznajmy, że odwaga taka jest dziś coraz rzadszą w naszem społeczeństwie.

Ś. p. książę Roman, syn Adama Konstantego i księżnej Wandy z Radziwiłłów córki Antoniego, b. namiestnika Wiel. księstwa Poznańskiego, urodził się d. 23. Listopada 1839 r. ukończył gimnazyum w Poznaniu, uczęszczał na uniwersytet najprzód w Berlinie a potem w Wrocławiu, gdzie ograniczywszy swe osobiste potrzeby o ile się tylko dało, niósł pomoc bratnią biednym kolegom, związany z nimi serdecznemi węzłami braterstwa. — Gdy ojczyzna zawołała na swych synów w 1863 r. — ś. p. Roman aczkolwiek już wtenczas wątłego zdrowia — stanął do wiernej służby. — Uwięziony następnie, siedział dwa lata w Mohabicie pod Berlinem, a potem skazany został wyrokiem na rok więzienia w fortecy Ehrenbreitenstein nad Renem.

Gdy stanął przed najwyższym Trybunałem w Berlinie, oskarzony w sprawie ś p. Jana Działyńskiego o zdradę stanu, z taką się godnością tłómaczył, że obrońca jego wyrzekł w końcu te pamiętne słowa: „Nie mówię tu o tem szlachectwie, które oskarżonemu przypadło przypadkowo w udziale przez jego urodzenie, lecz o szlachectwie duszy, które w moim kliencie miał sąd sposobność poznać“.

Uwolniony, osiadł na roli w Wielkopolsce i wybrany został posłem do parlamentu niemieckiego. Po ożenieniu się z hrabianką Florentyną Dieduszycką, córką ś. p Tytusa i Izabelli, przeniósł się do Galicyi i zamieszkał na Podolu. Spojrzawszy na okół siebie, spostrzegł zaraz z bolem serca, smutny stan oświaty ludu, nędzę tegoż i straszną waśń bratnią pomiędzy Polakami a Rusinami.

A gdy głos duszy usłyszał: „ratuj kto możesz“ — nie zważając czy kto pójdzie za nim i ilu — rzucił się do tej pracy z pełnym zapałem patryoty i silną wolą, na jaką się mógł zdobyć. — Z braćmi Rusinami łączył się duchem i czynem — a nie były to w ustach jego obłudne i czcze frazesa — ale rzeczywiste czyny.

Wybrany do sejmu krajowego, przedstawiał on tam dziwnie prawy charakter obywatelski. — Więcej takich ś. p. Romanów Czartoryskich, — a inaczej byłoby u nas, nie byłoby waśni bratniej.

Niestety! — kilkoletnia choroba — uczyniła ciało bezwładnem, chociaż duch rwał się z łoża boleści naprzód, do czynu i walki wytrwałej.

A jak ten patryota bolał i nie spuszczał z oka spraw kraju i narodu, dowodzi głos jego przed skonem, spowodowany bolem i żalem do braci — rodaków, jakie stanowisko zajęli do Braci Rusinów, w sprawie wyborów do Rady Państwa w Dolinie.

To też konając, modlił się gorąco do Boga za Polskę Ruś i Litwę.

Okryłeś wielką żałobą za sobą serca bratnie, dzielny, szlachetny bojowniku, — który niepokalanym duchem, umiałeś wytrwać do końca. Smierć Twoja — to wielka strata dla Polski i Rusi; — ale stojąc już przed tronem Pana nad Pany — nie zaniedbasz modlić się i błagać o miłosierdzie dla synów zwaśnionych tej ziemi.

Żegnaj nam ś. p. Romanie. — Pamięć Twa na długo żyć będzie między nami. — Ten lud Polski i Ruski, któryś tak szczerze kochał, zaniósł twe ciało na swych barkach do mogiły — skropił ją swemi łzami — a to są wieńce droższe nad brylanty, bo nagrodą obywatelską na ziemi.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Ś. p. Ignacy Myśliborski.

W dniu 27. Stycznia r. b. zmarł w Warszawie Ignacy Myśliborski, urodzony 26. Lipca 1801 r. we wsi Kamionki pod Płockiem.

Rok 1830. zastał go na posadzie regenta w Ostrołęce Na okrzyk — „do broni bracia!“ — nie wahał się ani jednej chwili porzucić urzędowania i udać się do szeregów walczących współbraci za wolność i niepodległość Ojczyzny. Po strasznych bojach Dębego, Ostrołęki, został mianowany w 5. pułku piechoty oficerem. Z upadkiem powstania udał się do Francyi biorąc czynny udział w sprawach Towarzystwa Demokratycznego jako członek sekcyi Angers, w okolicach któregoto miasta zarządzał kopalnią węgla kamiennego.

Po Coup d' Etat, gdy wydalono centralizacyę z Paryża, a członków Towarzystwa nawet w r. 1858. srodze prześladowano, wywożąc ich jak Pawła Darasza, Korczyńskiego, w furgonach, zwanych „voitures cellulaires“ dla zbrodniarzy przeznaczonych — do miast portowych a ztamtąd do Algieru, — Myśliborski wrócił do kraju, aby żywem słowem krzewić idee postępu, równouprawnienia i miłości kraju.

Za rządów Wielopolskiego w Kongresówce udało mu się powrócić do regentury napowrót w Kraśniku, a następnie w Kutnie, na której pozostawał aż do wprowadzenia nienawistnego mu języka moskiewskiego.

Myśliborski łagodnością i prawością charakteru zyskiwał sobie wszędzie przyjaciół. Bóg, Ojczyzna, prawda i ludzkość były dogmatami wiary w rodzinie jego, która w martyrologii polskiej niepoślednie zajmuje miejsce. Brat jego Józef zmarły nie tak dawno, w r. 1844 i 1845 więziony był w kazamatach cytadeli warszawskiej, później w r. 1857 za miłość Ojczyzny i wiarę w odrodzenie Polski, po długiem znów więzieniu wywieziony do Woroneża i tam przez lat dwadzieścia trzymany — w zakładzie obłąkanych!!

Cześć Myśliborskim i wszystkim im podobnym!

Polacy na obcych ziemiach.

Dowiadujemy się z prawdziwem zadowoleniem o odznaczaniu się naszych polskich rzemieślników pomiędzy obcymi a dumnymi ze swoich wynalazków narodami. Pan *Julian Piątkowski*, rodak nasz, zamieszkały w Londynie, ulepszył system maszyny do wyrabiania pigułek aptekarskich. Maszyna ta pierwotnie wynaleziona w Filadelfii wyrabiała co najwięcej 72 pigułek na minutę. Maszyna systemu Piątkowskiego wyrabia 200 do 400 pigułek w jednej minucie.

Jest to już drugi Polak rzemieślnik, który się w tym czasie w Londynie odznaczył i zdolnościami oraz umiejętnością w swoim zawodzie przewyższył swoich towarzyszy angielskich. Pierwszym był p. *Władysław Piskorski*, który w roku 1885 wynalazł maszynkę elektryczną do liczenia i rozgatunkowywania monety angielskiej.

Szczęść Boże polskim rzemieślnikom. — W ich moralnem i umysłowem rozwijaniu się wyrabia się potężna siła polskiej żywotności, której ani żelazni kanclerze, ani Katkowy, ani bramy piekielne nie zwalczą.

W Paryżu rodak nasz *Wojdyga*, założył fabrykę zegarków. Około 40 robotników, pomiędzy tymi kilkunastu Polaków, pracuje w zakładzie. Wszyscy są wykwalifikowani.

Na kongresie w Lozannie w Szwajcaryi, inżynier *Japowicz* przedstawił plan przebicia góry Simplon. Tunel ma być długim 16 kilometrów, dłuższym więc będzie od tunelu w górze św. Gotarda. Kosztorys obliczono na 62,000.000 franków. Roboty mają trwać lat 7.

Z przyjemnością dzielimy się każdą nowiną z naszymi czytelnikami, wyczytaną w dziennikach francuzkich o odznaczeniu się którego z rodaków naszych. Na dziś mamy do zanotowania wiadomość z dziennika de *l'Ouest*, że syn zasłużonego weterana polskiego z r. 1831, Dra Józefa A. N. Jabłońskiego w Poitiers, Dr. *Jan Jabłoński*, lekarz szpitala Hotel Dieu, Lyceum, Szkoły normalnej, członek Rady zdrowia i lekarz Epidemii departamentu Vienne, uwieńczony został za nowe swoje prace w przedmiocie hygienny, *powtórnym medalem złotym*, otrzymawszy poprzednio trzy srebrne i dwa bronzowe.

Również powszechnie znany i szanowany tak przez rodaków jako i życzliwych nam Francuzów, ziomek nasz pan *Edmund Jarocki*, emigrant z roku 1863, profesor w Lyceum, zanominowany został Oficerem Akademii w Poitiers (Vienne).

Dzienniki krajowe piszą pochlebnie o panu *Tadeuszu Szafrańskim*, Wielkopolaninie, rysowniku i karykaturzyście, mieszkającym od dłuższego czasu w Paryżu, gdzie jest współpracownikiem czasopisma *La France illustrée*. Zjedna sobie między obcymi powszechne uznanie, bo należy do najzdolniejszych rysowników francuzkich.

Zdziwiło nas, że krajowe dzienniki zaliczają pana Szafrańskiego do rysowników francuskich! Czyżby to znaczyło, że przestał być polskim rysownikiem? Nie chcemy nawet przypuszczać czegoś podobnego.

Niechże pan Szafrański użyje talentu swojego także na rzecz Poiski, ażeby go nie zaliczono do francuzkich artystów.

Ostatnie wiadomości.

Wśród wielkich klęsk i ciężkich doświadczeń narodów, Bóg sprawiedliwy wskazując, że to są dnie pokuty i próby zarówno, wlewa znowu otuchę do serc zbolałych, która oby posłużyła za tę gwiazdę Betlejemską, wskazującą gdzie się skupiać mamy.

Takim promieniem słonecznym dla nas, jest wynik wyborów do parlamentu niemieckiego z Wielkopolskiej ziemi i Prus zachodnich. — Wynik ten dowodzi, jak wielka jest niespożytość ducha polskiego. Nie potrzebujemy powtarzać, jaka ciernista droga żywota jest Braci Wielkopolskiej i dawnych Prus Polskich, jakie tam żywioły i siły działają na wynarodowienie, jak się tam rozwielmożnia siła Teutonów, Krzyżactwa. — Rozrzucają się miliony aby wyrwać z pod nóg ziemię ich odwiecznych dziedziców. — Nie dziw, że upadek ducha zdawał się nieunikniony, — że dla Wielkopolski nie ma już ratunku. — Niebezpieczeństwo jest wielkie, ale i opór legalny jest możebny, — a najlepszym tego dowodem jest wynik wyborów Niepomogły nacisk, obłuda, pokusy wszelkie, — gdy stanęła wielka gromada Ludu Wielkopolskiego przy urnie wyborczej — bo pomimo niebywałej dotąd walki — zwycięztwo stanęło po stronie tak srodze doświadczonych. Wprawdzie w Prusach zachodnich utracono dwa mandaty, ale temu się dziwić nie można. Niewolno zaprzeczyć, że duch narodowy w ludzie i mieszczaństwie, zasługuje na największe uznanie i w nich też głównie widoma jest siła.

Przykre tylko wrażenie czyni na nas walka „Gońca Wielkopolskiego“ i innych, toczona przeciw „Orędownikowi“.

Znamy wielkie zasługi „Gońca Wielkopolskiego — pomimo to, nie możemy się z nim zawsze zgodzić, bo rzecz bierze zanadto jednostronnie. Zanadto bierze w obronę to, co się niezawsze da już obronić. Dalecy też jesteśmy od łamania kopij za „Orędownikiem“ — popełniał on również błędy i popełnia, mamy jednak na tyle cywilnej odwagi, aby stanąć po jego stronie — co do szlachty i księży.

Nie mogliśmy się dotąd dopatrzeć nigdzie w „Orędowniku“ — aby tenże generalizował swoje zdanie o szlachcie i księżach, — bo to by było wysoką nieuczciwością. — Niestety, musimy się jednak z nim zgodzić na rozluzowanie patryotyzmu, sprzeniewierzanie się katechizmowi narodowemu, które to występki głównie do obecnego stanu doprowadzały nietylko w Wielkopolsce, ale w Koronie i Galicyi. — To się już w żaden sposób pod korzec nie da schować. — Dla szlachty i księży — którzy się ściśle liczą z obowiązkami, ma i musi mieć każdy cześć.

W Nrze 3cim „Strażnicy Polskiej“ pod tytułem: „Cenne wskazówki“ — przedrukowaliśmy kilka listów w tej sprawie z „Orędownika“. W głosach tych nikt się tu niedopatrzył podszczuwania na szlachtę i księży — ale stwierdził smutny fakt, że się tak dzieje rzeczywiście — że nasza szlachta i duchowieństwo nie mają już na tyle silnej woli — aby bronić zbiorowo i skutecznie naszych najświętszych praw.

Czy lekkomyślność, która w znacznej części przyczyniła się i przyczynia do wywłaszczania z ziemi ojców — niedostateczne zajmowanie się dolą ludu — nie dały także przykładu wychodźtwa do Ameryki — i wędrówkom za chlebem po Niemczech?

W czyim to ręku były — „Tellus“ — Bank Kwilecki Potocki i spółka, — a jakżeż się wywiązały z położonego w nich zaufania? — Jak odpowiedziały zadaniu? — Czy w obec takich faktów jest to szczuciem na szlachtę i księży, że lud myśli zawczasu aby „o własnych siłach“ pracować już teraz nad utrzymaniem idei narodowej? — Jak ten lud radzić sobie będzie, i czy nie rzuci się w ostateczności — nie pójdzie rzeczywiście w „socyalisty“, — to rzecz inna. — Niechże się tu skupiają szlachta i księża, niechże z tym ludem modlą się — ale szczerze, z głębi duszy — niech stoją przy nim na każdym kroku czynem i radą, niech mu dodają opieki ile to w ich możności, a wtenczas ochroni go od wszelkich idei mrzonek przewrotu. — Oburzać się jednakowoż na tych, a nawet podsuwać im zdradę, gdy jasno widzą co się dzieje, a mało nadzwyczaj robi dla uszlachetnienia ludu, podniesienia go do ideałów narodowych, tych się nie godzi odsądzać od czci i wiary. Jesteśmy katolikami, stoimy i stać będziemy twardo przy tem wyznaniu wiary, ale to nas jeszcze nie zmusza, do absolutnego posłuszeństwa nawet Rzymowi, jeżeli ztamtąd wychodzą hasła i ukazy do katolicyzmu, a czemu nawet Goniec Wielkopolski zaprzeczyć nie może, aby Katolicy głosowali np. za septenatem. — Cóż odpowie np. Goniec Wielkopolski“ na to, jeżeli przeczyta „Przegląd Katolicki“ wychodzący w Warszawie, numer ze Stycznia r. b. o ile sobie przypominamy, w którym ni ztąd ni zowąd po dwudziestu pięciu latach jakaś powaga duchowna występuje z obszernym artykułem, a którego główną treścią jest: rzucanie teraz anathema, odsądzanie od czci i wiary tych wszystkich kapłanów polskich, Biskupów i arcy-Biskupów, którzy brali jakikolwiek udział w wypadkach od r. 1861 do 1864? — Zapytujemy: czy podobny artykuł gdyby nawet był przysłany od Rządu Rossyjskiego, miał obowiązek umieszczać Przegląd Katolicki? W tym kierunku moglibyśmy wiele innych rzeczy powiedzieć z różnych doświadczeń, które mamy przed oczami nawet bliżej. Nie chcemy jednak mianowicie w tej chwili dolewać

żaru do ognia, ale w tej myśli aby lud i mieszczaństwo, bez wszelkiej goryczy żalu do szlachty i księży, samo nareszcie myślało o dziejowej tradycyi narodowości, temu każdy prawy szlachcic i ksiądz, tylko przyklasnąć musi.

Jak lud spełnia obowiązki narodowe w Wielkopolsce, czytamy korespondencyę w „Orędowniku“:

Królowlas pod Gniewem, 23. Lutego. Szanownej Redakcyi donoszę o wypadku wyborów z naszej wsi. Do urny wyborczej stawiło się 69. Z tych uzyskał nasz kandydat p. Michał Kalkstein z Klonówki 68, Niemiec p. Engler z Kościerzynie 1. Nadmieniam przytem, że z naszych każdy, kto tylko miał prawo do głosowania, skwapliwie spełniał swój obowiązek. Dwóch nawet zasłużyło sobie na osobliwszą pochwałę: dziś ś. p. w Panu spoczywający Paweł Tollik i p. Fr. Tramowski. Ci bowiem, chociaż śmiertelnie chorzy, wstali z łóżka i oddali swe głosy na polskiego kandydata.

Oby Pan Bóg pierwszemu wieczny odpoczynek, drugiemu zaś jak najrychlej zdrowia udzielić raczył.

„Orędownik“ zamieszcza cały szereg czynów patryotycznego ludu, w poczuciu „Własnej obrony“.

Komorniki pod Poznaniem, 21. Lutego. (Rezultat wyborów). Do jednej urny należały Komorniki i jeszcze dwie małe wsie Głuchowo i Goluski.

Głosów otrzymali: p. Stefan Cegielski z Poznania 178, radca Goebel z Poznania 28.

Mieliśmy też takie dwa wypadki. Ze wsi Głuchowa przywieziony na wozie przez swego teścia gospodarz Sołtysiak, gdy przybył do urny, aby wypełnić swój obowiązek, wyglądał jak trup blady na twarzy. Gdy począł odchodzić, ledwo nie upadł na podłogę, ale że się oparł o ścianę i krukwią się podpierał. Dopiero od obok siedzącego ławnika dowiedziałemi się, że niedawno ten gospodarz złamał nogę i to w dwóch miejscach jak jechał z boru, na którą jeszcze bardzo cierpiał, a jednak przyjechał obowiązek wypełnić.

Drugi smutniejszy wypadek taki:

Oto gospodarz z Komornik J. S., w średnim wieku, jak nie przybywa, tak nie przybywa, aby swój obowiązek wypełnić; ktoś powiada że chory, bo ma opuchłe nogi. Ale jakaż to choroba, kiedy przed trzema dniami był w Mosinie na jarmarku z temi samemi nogami, chociaż tamdotąd są blizko dwie mile, a tu do lokalu wyborczego, do którego jest ledwie 200 metrów drogi, nie może? Później gdy się wyliże z tej mniemanej choroby, każdy zobaczy, że mu szosa będzie za wąska, gdy będzie wracał z karczmy do domu.

Takie są jeszcze stosunki pomiędzy ludźmi, ale dzięki Bogu, że takich już jest mało. Mamy za to więcej takich ludzi, którzy mają zdrowy rozum, i chociaż mogą się nabawić większego bolu albo choroby, rwą się z łoża boleści, każą się zawieść, aby tylko wypełnić swój obowiązek święty jako Polak.

Donoszą nam z Bułgaryi, że tam ajenci moskiewscy, wytężają od kilkunastu dni wszelkie siły, sypią rublami i imperyałami, aby za jakąbądź cenę — wywołać oburzenie przeciw regencyi — i doprowadzić do krwawych starć, — a tem samem upozorować okupacyę.

Jaka jest powszechna sympatya dla księcia Aleksandra Battenberga, dowodzi najlepiej, iż od czasu gdy nadeszła pierwsza wieść o jego chorobie, aż do obecnej chwili — każdy chwyta gorączkowo dzienniki do rąk, szukając wiadomości z Darmstadtu. — A gdy wczoraj dowiedziano się, że wszelkie niebezpieczństwo minęło — nie taił nikt swej radości, — lecz dzielił się nią z drugimi.

Arcybiskup poznański Dinder, zabronił ks. Jażdzewskiemu, wybranemu na posła do parlamentu niemieckiego, przyjąć mandatu.

Z **Warszawy** donoszą nam, ze źródła dobrze poinformowanego, że przy ostatniej rewizyi fortec w Królestwie polskiem, pokazało się i teraz, że zapasy wojenne, mianowicie amunicyi działowej, pokazały się znacznie mniejsze, aniżeli figurują na papierze w raportach. — A nawet co do jakości mają pozostawiać wiele do życzenia. — Wskutek tej niespodzianki, muszą być natychmiat porobione nowe zamówienia. To też aby czasu nie tracić, zamówiono w lejarniach Królestwa polskiego z zaznaczeniem krótkiego terminu dostawy 20.000 bomb.

O zakupach desek i o budowie baraków, „Berliner politische Nachrichten“ piszą między innemi, co następuje:

Francya deski i drzewo budowlane nie sprowadza obecnie z Niemiec. Konie — po ogłoszeniu zakazu wywozu koni z Niemiec — sprowadza z Belgii, deski zaś i drzewo budowlane z Czech. Ten ostatni szczegół możemy w zupełności potwierdzić, z tem nadmienieniem, że kontrakta na dostawę są zawarte na krótkie termina i że transporta są wysyłane bezpośrednio do Nancy. Oprócz tego dowiadujemy się, że niejaki Ludwik Ortlieb z Monachium, będący naturalizowanym Amerykaninem, który najczęściej we Francyi przebywa, w ostatnich dniach wysłał 40 — 50 wagonów desek ze stacyi Hopfgarten w Tyrolu do Verdun. Deski te przeznaczone są do budowy baraków. Jeżeli się uwzględni, mianowicie, że właśnie w kierunku Verdun, wojska francuskie na granicy niemieckiej; nadzwyczajnie wzmocnione zostały, dla zrozumienia celu zwózki desek pod Verdun, nie potrzeba podobno żadnych dalszych objaśnień. Dodać należy, że baraki pod Verdun obliczone są na pomieszczenie 100.000 wojska, i że w okolicach Belfortu dla takiej samej liczby przygotowuje się pomieszczenie. Mamy tu bez wątpienia do czynienia ze wzmocnieniem armii, zarządzonem w tym celu, ażeby zaraz na początku wojny wielkie masy wojsk mogły być przerzucone na drugą stronę granicy, by tym sposobem widownia wojny przeniesioną została w kraj niemiecki.

Prócz tego w Tulonie gotują Francuzi okręty, które mają przewieść cały jeden pułk z Algeryi do Francyi. W ogóle chce Francya wycofać znaczną część wojska swego z Afryki, aby je użyć w razie potrzeby w kraju.

Kupcy niemieccy, a zwłaszcza berlińscy, ulegając potrzebie, jak pisze „Kurjer warsz.“, coraz częściej korespondują z naszymi przemysłowcami w języku polskim. W tych dniach pp. F. Z. i M., warszawscy buchalterzy, udali się do Berlina na zapotrzebowanie kilku firm, żądających polskich korespondentów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek, L. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.